Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron | Warszawa, 23 lipca 1950 r. | Nr 17 Rok I

Biblioteka Wydziału Kadr Urzędu Morskiego SOPOT

PAWEŁ HOFFMAN

W SZÓSTĄ ROCZNICĘ

BUDUJEMY Nową Hutę — miasto socjalistyczne od urodzenia. Miasto, którego historia nie będzie znała suteren ani poddaszy, obskurnych szynków ani wykwintnych lunaparów, bezrobotnych nocujących pod arkadami mostów ani burżuazyjnego motłochu żerującego na pracy milionów. W kronikach tego miasta nie znajdą potomni niczego co mogłoby przypominać pasożytniczą inicjatywę prywatną. Bo Nową Hutę buduje zbiorowa ,rewolucyjna inicjatywa klasy robotniczej, budzona i organizowana przez jej Partię. Nową Hutę buduje młodzież robotnicza i chłopska, budują wolni ludzie dla wolnych ludzi.

Tysiączną spółdzielnię produkcyjną założyli w tych dniach chłopi z Brzeziej Łąki. Rewolucja socjalistyczna zwycięsko przełamuje odwieczny konserwatyzm tradycyjnego układu życia wiejskiego. Traktor i kombajn wkroczyły w codzienny byt chłopskie z ciemnoty i zacofania, wyzwala łecznemu na wsi towarzyszy głęboki przewrót w umysłach, który wyrywa masy chłopskie z ciemnoty, zacofania, wyzwala je z jarzma skostniałych przesądów i uprzedzeń. Stawiając pierwsze kroki na historycznej drodze przezwyciężania przeciwieństwa między pracą przemysłową a rolniczą, zapoczątkowaliśmy tym samym rewolucyjny proces zasypywania przepaści kulturalnej między miastem a wsią.

Zbieramy w tym roku plon z dziewięciu i pół miliona hektarów — ale jest to tylko statystyczny wyraz olbrzymiej pracy twórczej, jaką wykonaliśmy w ciągu sześciu lat dzielących nas od dnia ogłoszenia Manifestu Lipcowego. To tylko jeden z wielu wskaźników, które unaoczniają rozmach rewolucji socjalistycznej w Polsce, wyższość naszego ustroju nad kapitalizmem, wyższość gospodarczą, organizacyjną i — przede wszystkim — moralną. To jeden z licznych sprawdzianów — mieliśmy ich tak wiele choćby w robotniczym Czynie Lipcowym — tego, do czego zdolny jest lud pracujący, gdy czuje się gospodarzem kraju, twórcą nowego, socjalistycznego życia.

Święto Odrodzenia, sześciolecie Manifestu Lipcowego obchodzimy dziś w pierwszym roku planu sześcioletniego, który nazwaliśmy planem generalnej ofensywy socjalizmu w Polsce. Pamiętajmy: to nie tylko plan gospodarczy, to nawet nie tylko plan wielkiego budownictwa kulturalnego, głębokiej rewolucji oświatowej. To plan budowy nowego socjalistycznego narodu i kształtowania socjalistycznego człowieka. Jeżeli na przykład w wyniku tego planu nasze wydobycie węgla wzrośnie do 100 milionów ton rocznie (w Anglii, ojczyźnie przemysłu węglowego, wydobycie spadło ostatnio w jednym tylko tygodniu o 300 tysięcy ton i spada ustawicznie) — będzie to nie tylko wielki, niemożliwy w warunkach umierającego kapitalizmu, sukces produkcyjny. To będzie zwycięstwo socjalistycznego człowieka. Zwycięstwo świadomie i planowo przygotowywane przez świadome i planowe wychowanie tego człowieka, który w rewolucyjnej walce z przeżytkami przeszłości sam uwalnia się od nich i kształtuje w sobie nowe cechy, stwarza nowe normy współżycia ludzkiego, nową umysłowość i nową moralność — socjalistyczną.

Kto tego nie umie czy nie chce zrozumieć, nie rozumie też, że to co nazywamy polityką kadr, walką o kadry, że zadanie wychowania nowych kadr — proklamowane przez IV Plenum Komitetu Centralnego jako naczelny w tej chwili obowiązek Partii — nie jest tylko kolejnym zadaniem organizacyjnym czy nawet szkoleniowym. Że nie sprowadza się po prostu do zasilenia aparatu partyjnego, gospodarczego, administracyjnego czy oświatowego przez zaciąg i przeszkolenie, teoretyczne i praktyczne, tylu a tylu tysięcy nowych działaczy, pracowników, fachowców z wszystkich dziedzin.

Proklamowana przez Partię polityka kadr to wielka rewolucyjna akcja wychowania nowego człowieka budującego socjalizm i przeobrażającego się w procesie tej budowy. To między innymi — łącznie z wielką pracą nad zmianą składu socjalnego naszej studiującej młodzieży — masowa akcja tworzenia nowej socjalistycznej inteligencji wyrosłej z mas ludowych i masom ludowym służącej. Polityka kadr to przecież w skali wciąż wzrastającej wysuwanie na kierownicze stanowiska prostych robotników i chłopów, dziesiątków tysięcy utalentowanych ludzi, którym dopiero demokracja ludowa umożliwia zastosowanie i rozwijanie swych uzdolnień właśnie przez to, że powołuje ich do czynnej pracy przy budowie socjalizmu. Ale to jeszcze nie wszystko.

Socjalistyczna, planowo przez Partię kierowana polityka kadr inicjuje rewolucyjny proces przezwyciężania właściwego ustrojom klasowym przeciwieństwa i rozdziału między pracą fizyczną a pracą umysłową — przez wytrwałe i systematyczne podnoszenie kwalifikacji zawodowych i ogólnego poziomu już nie jednostek ale coraz większej rzeszy robotników i chłopów. Przecież to co przywykliśmy nazywać awansem społecznym, to właśnie ten dwoisty, kierowany przez Partię i coraz bardziej masowy proces tworzenia nowej socjalistycznej inteligencji spośród robotników i chłopów, jednocześnie zaś znoszenia dotychczasowego przedziału między ludźmi pracy fizycznej i ludźmi pracy umysłowej. Nasi działacze partyjni i związkowi, członkowie Rad Narodowych, przodownicy pracy, racjonalizatorzy i nowatorzy, pionierzy spółdzielczości produkcyjnej na wsi — to ci robotnicy i chłopi, którzy w procesie budowy socjalizmu stają się inteligencją, ale inteligencją nowego typu, z gruntu odmienną od inteligencji wychowanej przez burżuazję dla burżuazji. A iluż z nich — w przemyśle i w rolnictwie, w kolejnictwie czy w uspołecznionym, socjalistycznym handlu — we własnej osobie łączy już dziś funkcje pracy fizycznej i funkcje pracy umysłowej, cechy pracownika fizycznego z cechami pracownika umysłowego! Rodzi się nowy człowiek, niepodobny ani do dawnego inteligenta ani do dawnego robotnika czy chłopa. Człowiek, jakiego nie znał żaden ustrój klasowy.

Jesteśmy dopiero u początków tego procesu. Ale dopiero — to znaczy już. Rewolucja już się zaczęła i postępuje zwycięsko naprzód nie tylko w obiektywnych, materialnych elementach życia, w jego organizacji, ale w samym „czynniku subiektywnym", w podmiocie wszystkich rewolucyjnych przemian, w człowieku. Tylko ten, kto rozumie to zjawisko i odczuwa jego rewolucyjny patos, wie, że „polityka kadr" to coś więcej niż „śmiałe wysuwanie" i „umiejętne rozstawianie" ludzi — to rewolucyjne stwarzanie zupełnie nowego typu ludzkiego. Trzeba, żebyśmy tak właśnie rozumieli nasz plan sześcioletni. Trzeba, żeby tak właśnie — od strony człowieka — rozumieli go nasi pisarze i artyści. Żeby w planie sześcioletnim zobaczyli szkołę i pole działania pozytywnego bohatera naszej powieści i sztuki scenicznej, którego oczekuje nowy czytelnik i widz, o którego w setkach listów woła nasza młodzież.

*

Manifestem Lipcowym zapoczątkowaliśmy nową epokę w dziejach narodu polskiego. Nasze ludowo-demokratyczne państwo powstało w walce z hitlerowskim imperializmem i z polskimi klasami posiadającymi. Powstało wbrew planom imperializmu amerykańskiego i angielskiego, które czyniły wszystko co mogły, żeby nie dopuścić do objęcia władzy w naszym kraju przez lud pracujący i wprowadzenia Polski na drogę rewolucji socjalistycznej. Wygraliśmy tę walkę, bo prowadziliśmy ją w przymierzu z wielkim Krajem Rad, z jego socjalistyczną Armią. Tylko dzięki temu wywalczyliśmy wolność i raz na zawsze zamknęliśmy burżuazji drogę powrotu do władzy; tylko dlatego udaremniliśmy wszelkie próby restauracji kapitalizmu.

Dziś, po sześciu latach, słuszność polityki, której wyrazem był Manifest Lipcowy, potwierdzają nasze osiągnięcia we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Osiągnięcia — zdobyte i zdobywane w ciężkiej walce klasowej z siłami przeszłości inspirowanymi i wspieranymi przez imperialistów. Wiemy, że walka klasowa w Polsce jest tylko częścią walki klasowej, toczącej się na całym globie między światem socjalizmu a światem imperializmu, między obozem pokoju, postępu i wolności, a obozem wojny, reakcji i barbarzyństwa.

Zbójecki napad spadkobierców Hitlera, imperialistów amerykańskich na Koreę świadczy, że ginący, szarpany sprzecznościami i nieprzytomny ze strachu kapitalizm jest — póki jeszcze istnieje — permanentnym niebezpieczeństwem dla ludzkości. Że tylko masowa, zorganizowana siła obrońców pokoju może przeszkodzić imperialistycznym zbrodniarzom w wykonaniu ich krwawego planu. Tę siłę skupia i mobilizuje światowa akcja obrony pokoju, rozwijana na platformie sztokholmskiej. Tę siłę umacniamy naszą pracą, która przybliża zwycięstwo socjalizmu w Polsce. Umacniamy ją naszą walką z kontrrewolucyjnymi żywiołami w kraju, agenturami amerykańskiego imperializmu, sprzymierzeńcami niemieckich szowinistów spod znaku Adenauera i Guderiana. Każdy sukces produkcyjny i oszczędnościowy w naszym przemyśle, każda spółdzielnia produkcyjna na wsi, każda placówka uspołecznionego handlu i każda szkoła TPD — to pozycja w walce o socjalizm nie tylko u nas, ale w skali międzynarodowej; to pomnożenie i wzmocnienie sił pokoju na całym świecie.

Paweł Hoffman

Rozsiewane przez wroga kłamstwa, oszczerstwa, próby żerowania na ciemnocie i fanatyzmie nie zdołają się oprzeć ofensywie prawdy, którą niesie nasza partia, prawdy realizowanej codziennie słowom i czynem, wcielonej milionami wmurowanych cegieł, milionami wydobytych ton węgla, milionami wydrukowanych książek.

BOLESŁAW BIERUT

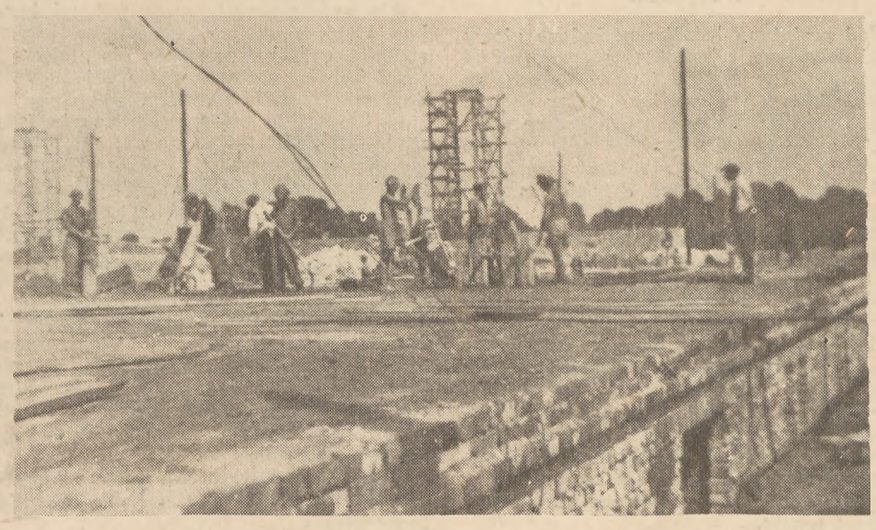

Foto AR

Brygada ZMP-owców przy budowie fundamentu bloków mieszkalnych w Nowej Hucie

Foto AR

Nowe domy mieszkalne w okolicach Ogrodu Saskiego

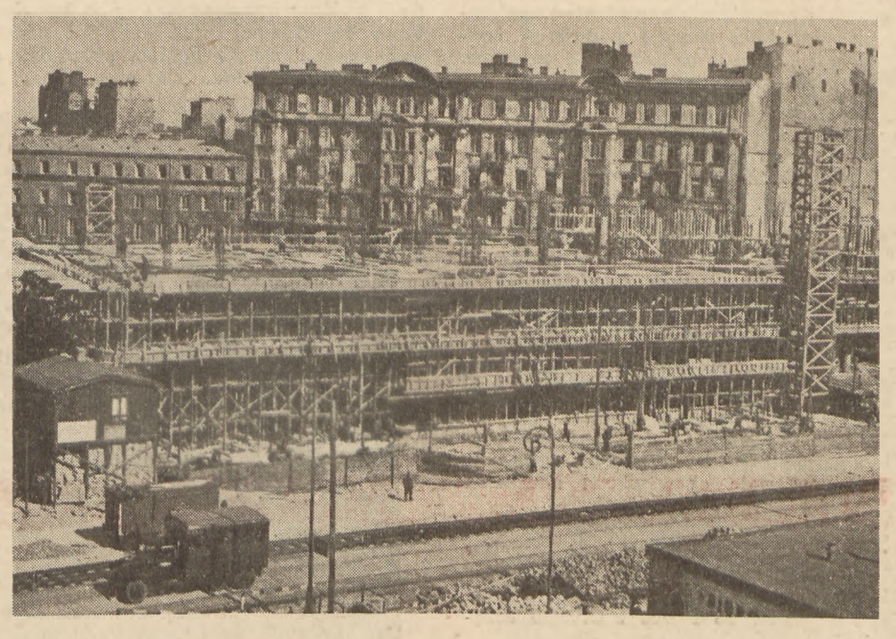

Foto AR

Budujący się Dom Towarowy przy ul. Brackiej

PAWEŁ JANKOWSKI

ZMP-owcy dwulecia

Dwa lata temu pogodny wrocławski dzień zamknął jeden z rozdziałów polskiego ruchu młodzieżowego — „jedność stała się faktem; zjednoczona młodzież przystąpiła do budowania radosnej przyszłości."

I dziś trudno by było zetempowskiemu aktywiście ocenić, czy to „już" czy „dopiero" dwa lata. „Już" — bo miesiące pędziły z szybkością nieomal minut, czy „dopiero", bo każdy z dni wypełniony był treścią po brzegi.

22 lipca roku 1950. Młodzieżowe spółdzielnie produkcyjne kończą pierwsze wspólne żniwa. Pionierska ściana kopalni „Centrum" prowadzi we współzawodnictwie. Dwójka kowali Pafawagu pracuje w drugim roku planu sześcioletniego. Pierwsi absolwenci Studium Przygotowawczego wyjeżdżają z dyplomami na praktyki. Inicjatorka Młodzieżowego Wyścigu Pracy opuszcza Technikum Włókiennicze. W Nowej Hucie domy rosną z pola. Młodzież obchodzi swoje święto.

W spółdzielni młodzieżowej w Wietlinie wraca z pola Jan Kurski. Dwa lata temu Jan Kurski siedział w chacie ojca pod Kielcami i nie wierzył. Nie wierzył, że wrocławskie uroczystości to naprawdę krok naprzód. Między innymi krok naprzód jego właśnie — wiciarza Jana Kurskiego. A potem w rodzinnej wiosce kułak pokazał prawdziwą twarz. Nowa organizacja wskazywała: ośmiodniowe odróbki za konie — to wyzysk, pożyczka zboża na zawrotne procenty — to wyzysk. Zetempowiec Jan Kurski, syn 1,5 hektarowego gospodarza spod Kielc, zobaczył inną wieś. Wieś zmagającą się w zażartej walce. Dobitnie wskazano mu w tej walce miejsce. Przyszło się bić — w polu, w zarządzie spółdzielni Samopomocy, w sąsiedzkich rozmowach, nawet w kole ZMP, bo nie wszyscy dawni przyjaciele dostrzegli linię frontu. Potem — Jan Kurski ruszył do Wietlina zostawiając przy ojcu trzech braci. „Zobaczymy, jak to się orze w poprzek miedz." Okazało się, że nie łatwo. Były trudności z kolektywem ludzi, nie dawały spać plotki, była szlachetna obawa o zbiory. Dziś zetempowiec Jan Kurski wie, że można wyhodować krzaczastą pszenicę i owies bez wąsów. Ale tylko w polu zaoranym w poprzek — przez miedzę.

Pietrek Cichoń wyjeżdża na [illegible]. Dwa lata temu Pietrek walczył o ścianę. O dopuszczenie młodych do samodzielnej pracy. Chodził od drzwi do drzwi w wielkich biurach kopalni „Centrum" i tłukł głową o gruby mur złej woli i biurokracji. Kopalnia szła pod planem. Awariom nikt się nie dziwił. A Pietrek czuł się słabym młodym chłopakiem, który nic nie może poradzić. A wymyślił, wymarzył przecież tę ścianę — Pionierską. Nikt nie chce słuchać. Zebrał chłopaków z tej nowej, jednej już organizacji i cicho przyznał, że nie umie, nie potrafi. Mówili inni. Mocno, po śląsku. Mają rację, umieją pracować i walczyć — pierona! — do upadłego, z wszystkimi biurokratami i niedowiarkami. „Myśl, Cichoń, o tym, że to nie twoja cichoniowa ściana, tylko nasza zetempowska!" I u progu życia nowej organizacji Pietrek jaskrawo dojrzał rożnicę między chodzeniem w pojedynkę a gromadą. Ruszył znowu od urzwi do drzwi, pewniejszy siebie, silniejszy. Już nie błagał, żądał nieomal. I przecież wreszcie ustąpili. Dali ścianę. I nie stało się to wcale tak, jak zamarzył sobie Pietrek Cichoń. Ściana szła pod planem niżej niż inne. Awarie powtarzały się. No, ale to nie cichoniowa ściana, tylko wspólna. Rozpoczęła się walka o minimum górniczej wiedzy, o sumę trudnych ale niezbędnych wiadomości. Powstały antyawaryjne trójki, które poznały każde skrzyżowanie toru kolejki, każdy szczegół instalacji elektrycznej. Pod ziemią rodził się kolektyw Pionierskiej ściany. Po pierwszym przekroczeniu normy nazwali swoją ścianę im. Hanki Sawickiej. Nigdy ściana im. Hanki Sawickiej na kopalni „Centrum" nie znalazła się pod planem. Bo nie cichoniowa ona, ani niczyja inna, tylko nasza — zetempowska. Imienia Hanki Sawickiej.

Foto AR

Józef Kwiecień — ślusarz z huty Ostrowiec i Michał Rysia gospodarz ze wsi Brzezie

Krzysztof Kaczmarski odejdzie od pneumatycznego młota z pełnym zadowoleniem. Dwa lata temu Krzysztof pracował w prywatnym zakładzie elektrotechnicznym za mieszkanie i obiad. Ale Wrocław był wtedy jeszcze pełen kuszących możliwości. Toteż żyło się jakoś. Pokątny handel kurczył się jednak w zawrotnym tempie. Cienka zupa pana majstra dawała się we znaki. Krzysztof ruszył do Pafawagu po pracę. Niewykwalifikowany — pewnie, gdzie i kiedy miał się kwalifikować. Postawili przy młocie pneumatycznym. Niech będzie. Tak został kowalem, i to bez zamiaru „przepracowywania się" kiedykolwiek. A wokół dyszało współzawodnictwo. Gorzała walka o plan. O każdy wagon, o każde uderzenie młota. Niewykwalifikowany kowal Krzysztof Kaczmarski miał 19 lat i w Białymstoku ojca robotnika. Porwało. Podpisuje listy współzawodnictwa i deklarację ZMP. Trzeba się było do końca otrząsnąć z tamtych [illegible] rzeć na swój młot pneumatyczny. „Zrozumieć i pokochać robotę" — tyle postanowił. I okazało się, że różne bywają uderzenia młota. Że różna stal przychodzi do obróbki. Już od dwóch tygodni kowal Krzysztof Kaczmarski pracuje w drugim roku planu. Można. Trzeba tylko zrozumieć i kochać robotę.

Dwa lata temu inicjatorka Młodzieżowego Wyścigu Pracy rozpoczęła pierwsze wakacje na Technikum. Trudno było wtedy przewidzieć dzisiejsze rezultaty tej nauki. Nie przewidywała ich chyba sama Halina Lipińska. Po sześciu oddziałach szkoły powszechnej, po paru latach nad krosnami — Technikum Włókiennicze! Wrócić do dawno już rzuconej książki, wdrożyć się w godziny szkolnych zajęć, odrabiać lekcje. Halina wyszła ze starej łódzkiej włókniarskiej rodziny. Nikt nie pamiętał, żeby włókniarstwa uczyć się w szkole. Naukę tę od wielu pokoleń pobierano długo i mozolnie przy krosnach. Rodzice nie mieli przekonania do nauki Halinki. Ale nie wierzyli przecież także ,oboje tkacze, w „ten tam wyścig"... Więc może i ze szkołą nie mają racji. Może po prostu myślą inaczej, po staremu... Ale pierwsze wakacje, wakacje zjednoczenia nic jeszcze nie przesądziły. Następne dwa lata przyniosły program trudniejszy. Nocami oczy same zamykały się nad podręcznikiem technologii. Ale ta nowa organizacja ma dać nową kadrę przemysłowi,, przystać zmianę starym wypróbowanym towarzyszom. Jeszcze godzina ukradziona nocy, jeszcze cztery zadania matematyczne. Włókniarka-przodownica pracy, działaczka organizacyjna Halina Lipińska opuszcza mury uczelni jako technik-włókniarz. Umie myśleć inaczej, po nowemu.

Nad Nową Hutą zachodzi słońce. Dzień minął. Trudny jak wszystkie inne i jak inne zwycięski. Znaczy się milowym krokiem nasypu kolejowego w zbożowe łany, skokiem w górę murów nowych domów, metrami bieżącymi szosy. Pod płótnami namiotów zaczną się przyciszone rozmowy. O domu, który został gdzieś na terenie kraju, o majstrze, który bił szewskim kopytem po głowie, o goryczy wiejskiego sierocwa. O dzisiejszym obiedzie, o tym co się udało a co nie. O robocie. Normie. Zetempowskim zebraniu. Śpiewie. I przede wszyskim — o tym, jak będzie w tym nowym mieście. W naszym Komsomolsku. Jak będzie wyglądała huta. Jak nazwie się place i ulice. O nowym mieście, nowym domu, nowej pracy, nowym życiu — nowych ludzi.

Dzień 22 lipca roku 1950 będzie przecież jednym z łańcucha dni ludzi pierwszego dwulecia organizacji, pierwszego roku sześciolatki. Ludzi, których dzieciństwo znaczyła wojna, a młodość buduje rewolucja.

Kilka tygodni temu organizacja partyjna przy BOR w Warszawie przyjmowała w swoje szeregi zetempowca — przodownika pracy. Brał legitymację kandydata Partii w trochę drżące ręce. Udzielono mu głosu. Opowiadanie było nieskładne, poszarpane wzruszeniem. To, że zostaje pasowany na żołnierza najwspanialszej armii, zadzięcza swojej Organizacji. Ona go nauczyła pracować, żyć, nienawidzieć i kochać. Potem dodaje wstydliwie — i marzyć.

Nie tylko jego. Setki tysięcy ludzi, którzy dziś obchodzą swoje młode święto wraz z młodym wielkim świętem ludowej ojczyzny.

Paweł Jankowski

JULIUSZ POLLACK

15 MIESIĘCY WALKI Z ANALFABETYZMEM

Do Biura Pełnomocnika Rządu do Walki z Analfabetyzmem poczta codziennie przynosi listy od ludzi, którzy jeszcze przed kilku miesięcy nie umieli ani czytać ani pisać. Kiedy się czyta te listy, niepewną jeszcze ręką pisane, doznaje się takiego uczucia, jakiego doznawać musi matka czytająca pierwsze w życiu słowa napisane przez jej własne dziecko. Uczucie radości, a jednocześnie dumy i zadowolenia.

O czym piszą w swych listach byli analfabeci? O czym piszą ludzie, przed którymi Polska Ludowa, umożliwiając im naukę czytania i pisania, otworzyła drogę do awansu społecznego, drogę do nowego życia.

Oto kilka wyjątków z tych listów:

„Jako córka robotnika nie miałam dostępu do szkół, aby móc osiągnąć więcej wiedzy, gdyż dawniej kształcić się tylko mogły dzieci panów. Dziś mam możność korzystać z dostępnej dla mnie nauki.

Jestem pracownicą fizyczną w sekcji PCK, mam dwoje dzieci na utrzymaniu i staram się je wychować, aby mogły osiągnąć jak najwięcej wiedzy, żeby mogły pracować dla dobra państwa, dla Polski Ludowej".

Helena Porębska, lat 28, Kraków.

„Byłem analfabetą, nigdy nie chodziłem do szkoły. Od dziecka musiałem pracować i z zadrością patrzyłem zawsze na dzieci, które szły do szkoły. Dzisiaj jestem już dojrzałym człowiekiem, lecz mimo tego uczę się.

Pracuję na kolei. Trudności miałem nieraz, bo nie umiałem czytać i pisać. Dziś po skończeniu kursu dla analfabetów mogę lepiej i wydajniej pracować. Mogę poczytać gazetę i książki. Składam podziękowanie Polsce Ludowej, która zajęła się sprawą oświecenia mas ludowych".

Józef Pepli
robotnik kolejowy z Baczyny

„Mam lat 49. Jestem cieśią. Byłem analfabetą. Rządom sanacyjnym nie zależało na tym, aby robotnik się uczył. Lepiej im, gdy robotnik jest ciemny. A robotnik, zmęczony pracą, wracał do domu i już nie myślał o nauce. Aż tu tej jesieni ukazały się ogłoszenia o tym, że wszyscy analfabeci mają iść do szkoły — uczyć się. Na zebraniach partyjnych też o tym mówili. Trudno, wstydziłem się trochę, ale poszedłem.

Dziś tego nie żałuję. Po czterech miesiącach nauki już czytam i piszę. Jestem z tego ogromnie rad, próbuję czytać gazety i książki. Czuję się jak nowonarodzony.

Wołam do opornych: „Idźcie do szkoły, nie wstydźcie się, ręka choć spracowana, pisać potrafi!

Rząd Polski Ludowej dobrze zrobił, że rozpoczął walkę z analfabetyzmem. Tego nie mogą zrobić imperialiści na zachodzie; zamiast pieniądze obracać na walkę z ciemnotą i na pożytek ludu — obracają je na bomby. Lud na tym cierpi".

Gradok Franciszek
Szczekociny.

Takich i tym podobnych listów moglibyśmy zacytować bardzo wiele. Piszą je ludzie starzy i młodzi, chłopi i robotnicy, mężczyźni i kobiety. Wszystkie te listy zawierają obok słów wdzięczności dla Rządu Polski Ludowej, radość z nabytej umiejętności czytania i pisania, która otwiera przed nimi nowe zupełnie horyzonty życiowe, czyni ich życie lepszym i łatwiejszym, a ich samych pełnowartościowymi obywatelami naszego kraju.

*

Od 15-tu już z górą miesięcy toczy się w Polsce wielka walka z analfabetyzmem. Zapoczątkowała ją historyczna uchwała Sejmu Rzeczypospolitej z dnia 7 kwietnia 1949 r:

„W celu likwidacji analfabetyzmu, będącego spuścizną rządów burżuazji i obszarnictwa oraz zaporą na drodze Polski Ludowej do pełnego rozwoju gospodarczego i kulturalnego Narodu — brzmi artykuł pierwszy uchwalonej w tym dniu ustawy o likwidacji analfabetyzmu — wprowadza się społeczny obowiązek bezpłatnej nauki dla analfabetów i półanalfabetów".

Artykuł ten, brzmiący jak rozkaz bojowy, postawił sprawę jasno i wyraźnie. Polska Ludowa postanowiła usunąć jedną z największych zapór, hamujących jej marsz ku socjalizmowi — analfabetyzm. Bo — jak mówił Lenin — z analfabetyzmem niesposób zbudować socjalizm.

Zadanie nie było łatwe. W roku 1931 według przeprowadzonego wówczas powszechnego spisu ludności, 23,4 proc. ludności powyżej lat 10 nie umiało w Polsce czytać i pisać. W rzeczywistości cyfra ta była jeszcze wyższa, wymieniona nie obejmowała bowiem analfabetów powrotnych (w r. 1939 stwierdzono, że 26 proc. poborowych, którzy uczyli się w szkole powszechnej, uległo powrotnemu analfabetyzmowi). W latach następnych wobec nieobjęcia wszystkich dzieci powszechnym obowiązkiem szkolnym, 10 proc. młodzieży w wieku szkolnym znajdowało się poza szkołą. Liczba analfabetów w Polsce z roku na rok wzrastała. Według prowizorycznych i bardzo optymistycznych obliczeń, tylko na terenie województw centralnych w r. 1939 ponad trzy i pół miliona ludzi nie umiało czytać i pisać. Był to zresztą wynik świadomej polityki rządów przedwrześniowych.

Foto AR

Helena Wilczyńska, małorolna chłopka, słuchaczka kursu nauki początkowej, podpisuje Apel Pokoju

Lata okupacji hitlerowskiej sytuację na odcinku analfabetyzmu w Polsce jeszcze pogorszyły. Toteż wielu ludzi zadawało sobie pytanie, czy zadanie likwidacji analfabetyzmu i to w dodatku w ciągu niespełna dwu i pół lat (do końca 1951 r.) nie jest zadaniem ponad siły. Wątpiącym wskazano na przykład Związku Radzieckiego, gdzie w wyniku zainicjowanej przez WKP(b) wielkiej kampanii walki z analfabetyzmem, analfabetyzm został zupełnie zlikwidowany, choć w spadku po rządach carskich ZSRR odziedziczył ok. 80 proc. ludności nieumiejącej czytać i pisać. Wątpiącym powiedziano, że analfabetyzm, bez względu na to, jakiego to będzie wymagało wysiłku i kosztów, musi być zlikwidowany, gdyż inaczej „wszystko to, co planujemy w dziedzinie oświaty i kultury, będzie kwiatem przy kożuchu" (słowa Premiera Cyrankiewicza), gdyż „siła władzy ludowej i rozkwit Polski oparty jest na świadomości i aktywności mas, a siły i talenty twórcze mas ludowych mogą rozwinąć się w pełni tylko w warunkach wysokiego poziomu kultury i wiedzy" (słowa Prezydenta Bieruta).

Foto Janik

Na kursie nauki początkowej

ZWYCIĘSKI START

Zresztą wyniki pierwszych 15-tu miesięcy walki z analfabetyzmem dają najlepszą odpowiedź tym, którzy sądzili, że zadanie likwidacji analfabetyzmu przerasta siły i możliwości Polski Ludowej.

Ustawa z dnia 7 kwietnia 1949 r. zmobilizowała do walki z analfabetyzmem całe społeczeństwo. Można śmiało powiedzieć, że od pierwszej chwili walka z analfabetyzmem stała się sprawą honoru naszego pokolenia. Do realizacji hasła: „Ani jednego analfabety w Polsce" przystąpiły wszystkie organizacje zawodowe i społeczne. Z niezwykłą energią podjęli je nauczyciele i działacze oświatowi. Z entuzjazmem pośpieszyła młodzież.

Rząd i społeczeństwo stworzyły dla akcji W. A. mocne podstawy finansowe. (W roku 1949 z budżetu Pełnomocnika Rządu oraz innych instytucji państwowych i organizacji społecznych na walkę z analfabetyzmem wydano ok. dwóch miliardów zł. Na rok 1950 preliminowana jest na walkę z analfabetyzmem kwota trzech i pół, a na rok 1951 — około trzech mild. zł.)

Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Opracowany przez Pełnomocnika Rządu do Walki z Analfabetyzmem a w dniu 13 czerwca 1949 r. przyjęty na posiedzeniu Głównej Komisji Społecznej do W. A. plan pracy na rok 1949 przewidywał:

1) przeprowadzenie rejestracji analfabetów i półanalfabetów, którzy na podstawie ustawy podlegają obowiązkowi nauczania (od 14 do 50 roku życia),

2) zorganizowanie:

a) w sierpniu 9.550 kursów i zespołów z 143.250 uczącymi się,

b) we wrześniu zwiększenie liczby kursów i zespołów do 18.000 z 270.600 uczącymi się,

c) uruchomienie w okresie jesienno-zimowym od października do końca roku — 30.000 kursów i zespołów z 450.000 uczącymi się.

Jak plan ten został zrealizowany?

Zasadnicza rejestracja została przeprowadzona w okresie wakacyjnym i objęła — wraz z rejestracją uzupełniającą przeprowadzoną później aż do końca 1949 roku — ponad 1.000.000 osób.

Akcja organizacji kursów w ciągu kampanii jesienno-zimowej dokonywana była następującymi etapami: w miesiącu wrześniu zorganizowano 13. 557 kursów i zespołów, czyli wykonano 75,3 proc. planu, obejmując nauczaniem 246.102 osoby (91,1 proc. planu). W październiku czynnych było już 17.837 kursów i zespołów, czyli 50,4 proc. planu w stosunku do zaplanowanej liczby 30.000 kursów i zespołów, z 299.519 uczącymi się, czyli 66,5 proc. planu — w stosunku do przewidywanych na okres jesienno-zimowy 450.00 uczących się.

W listopadzie ilość kursów i zespołów wzrosła do 23.161 (77 proc. planu) z 390.690 uczącymi się (86,2 proc. planu). W dalszym ciągu liczby te wzrostały stale, osiągając w dniu 31 grudnia 1949 r. stan 28.036 kursów i zespołów (93,4 proc.) przy 491.464 uczących się (109,3 proc.). Tak więc ambitnie zakreślony plan objęcia nauką 450.000 uczących się w okresie jesienno-zimowym wykonano w 109,3 proc.

W początku roku 1950 rozpoczął się drugi etap walki z analfabetyzmem. Zadanie nakreślone planem pracy brzmiało: „W dwóch wielkich kampaniach — wiosenno-letniej i jesienno-zimowej objąć w r. 1950 nauką 750.000 uczących się na 50.000 kursach. Prócz tego nauczyć indywidualnie 20.000 osób. Łącznie objąć nauczaniem w r. 1950 ponad 1.200.000 osób, a doprowadzić do egzaminów 600.000."

W tej chwili jesteśmy w trakcie przeprowadzania kampanii wiosenno-letniej. Ostateczne jej wyniki będą znane dopiero w październiku r.b. Na podstawie dotychczasowego jej przebiegu można być pewnym, że kampania wiosenno-letnia 1950 r. tak jak kampania jesienno-zimowa 1949 r. zakończona zostanie pełnym zwycięstwem.

Najważniejsze jest jednak, jakie są efektywne wyniki walki z analfabetyzmem, t.zn. jaka ilość analfabetów została już doprowadzona do egzaminów i egzaminy te złożyła, wykazując się umiejętnością czytania i pisania.

Liczba świadectw ukończenia nauki początkowej, wydanych absolwentom kursów i zespołów, które zorganizowane zostały w r. 1949 wynosi przeszło 300.000 (na 491 tys. uczących się). Egzaminy dla uczestników kursów, które rozpoczęły się w kampanii wiosenno-letniej r.b., odbędą się w sierpniu i wrześniu r.b. Przypuszczalnie dadzą one około 150.000 nowych absolwentów. Jeżeli doliczymy uczestników kursów i zespołów z kampanii jesienno-zimowej, którzy zdali egzaminu w terminie późniejszym — otrzymamy blisko pół miliona absolwentów — jako wynik dwóch wielkich kampanii: jesienno-zimowej 1949 r. i wiosenno-letniej 1950 r.

W przededniu Święta Odrodzenia Polski Pełnomocnik Rządu do W. A. min. Stefan Matuszewski, zameldował Prezydentowi Rzeczypospolitej, że w 3 miastach (Gdańsk, Gdynia, Sopot) oraz w 18 powiatach (tczewski, kościerzyński, sztumski, starogardzki, kartuski, Lębork w woj. gdańskim; gnieźnieński, śremski, kościański, krotoszyński, Nowy Tomyśl, Środa w woj. poznańskim; Bielsko w woj. katowickim; krośnieński i przemyski w woj. rzeszowskim, Inowrocław — Bydgoskie), nie ma już analfabetów. Bliski jest dzień, w którym analfabetów nie będzie w całej Polsce.

UTRWALANIE OSIĄGNIĘTYCH WYNIKÓW

Nad rozłożoną książką pochylone głowy ludzi dorosłych, robotników oderwanych od warsztatu, czy motoru i na dwie godziny przeniesionych w świat inny, który dociera do ich świadomości z zadrukowanych stronic. Jeszcze powoli, lecz już dość płynnie toczy się opowiadanie o rębaczu Czesławie Zielińskim, który został dyrektorem kopalni.

Oto typowa scenka z zespołu dobrego czytania. Zespoły takie, prowadzone np. przy bibliotekach i świetlicach, utrwalają nabyte przez b. analfabetów na kursach początkowego nauczania umiejętności czytania i pisania, a tym samym chronią ich przed powrotnym analfabetyzmem. Rozbudzają one zainteresowania czytelnicze: wdrażają do czytania książek i czasopism, do korzystania z bibliotek i czytelń. Uczą rozumnie dobierać książki i umiejetnie z nich korzystać, kształtują naukowy pogląd na świat, oparty na zasadach marksizmu-leninizmu.

Czynnikami organizującymi takie zespoły są masowe organizacje społeczne i aparat szkolny.

Prasa zespołów trwa zasadniczo 6 miesięcy. Zebrania odbywają się dwa do trzech razy w tygodniu, trwają przeciętnie po dwie godziny i prowadzone są na zasadach pracy kolektywnej przy czynnym udziale samorządu i pod kierunkiem wyszkolonych kierowników zespołu.

Program pracy związany jest z zagadnieniami życia społecznego, gospodarczego, politycznego i kulturalnego Polski Ludowej. Dobór treści idzie po linii realizacji założeń budownictwa socjalistycznego w Polsce, przygotowania do świadomej walki klasowej i walki o pokój, ugruntowania sojuszu robotniczo-chłopskiego oraz uwzględnienia potrzeb produkcji i racjonalizacji w pracy zawodowej.

W chwili obecnej czynnych jest w całym kraju ponad 6 tys. zespołów czytelniczych dla b. analfabetów. Plan na rok bieżący przewiduje utworzenie około 20 tys. takich zespołów. Przewiduje się, że w wyniku ich pracy liczba czytelników w bibliotekach zwiększy się o 300 tys. osób.

POKONYWANIE OPORÓW

Kto bezpośrednio nie zetknął się z walką z analfabetyzmem, ten nie zdaje sobie sprawy z ogromu trudności, jakie walka ta nastręcza. Brak odpowiedniego lokalu do nauczania, brak światła, czy opału w zimie, brak podręczników i pomocy szkolnych, okularów dla słabo widzących, wszystko to są trudności, które przy dobrej woli i odpowiedniej dozie energii nauczyciel czy opiekun społeczny, zajmujący się na swoim terenie walką z analfabetyzmem, stosunkowo łatwo może pokonać.

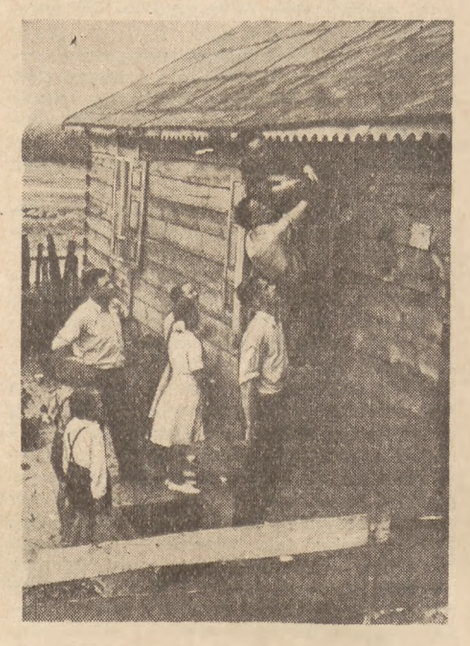

Foto AR

Młodzież ZMP w średniej szkole elektrycznej w Warszawie w ciągu 3 dni wykonała roboty przy elektryfikacji wsi Trzebucza (woj. warszawskie). Na zdjęciu grupa ZMP-owców zakłada instalację elektryczną w domu gospodarza Józefa Włodarczyka

Najwięcej trudności sprawia mu jednak pokonywanie oporów tkwiących w samych analfabetach. Dla scharakteryzowania tych trudności przytoczymy relacje nauczycielki szkoły podstawowej w Piaskach (woj. białostockie). Pisze ona:

— „Musiałam się bardzo natrudzić, zanim zdołałam zorganizować kurs. Część analfabetów kategorycznie nie chciała się uczyć.

— Na co mi nauka — twierdziła uparcie 50-letnia Helena Szewczyk, właścicielka kilkumorgowego gospodarstwa — ojciec mój, dziad i pradziad krzyżykami się podpisywali, a ja mam być mądrzejsza od nich?

Tak samo powtarzali i inni.

Ale największymi przeciwnikami kursu byli bogacze wiejscy, choć sami chętnie czytali gazety i podania do władz o zmniejszenie podatku napisać i odpowiednio umotywować potrafili.

— Chłopu, to widły i pług w ręku trzymać — mawiali — a nie pióro i książkę. Ho, ho, ci „czerwoni" to chcą wieś polską z odwiecznych posad wzruszyć. Chodzili oni od sąsiada do sąsiada i tłumaczyli jaka to obraza boska na nich spadnie, gdy dotkną się chociażby tego „czerwonego" elementarza. Niejeden analfabeta przestraszył się tej „groźby"... i stronił od nauki."

Ale praca „czerwonych" zrobiła swoje. Nauczycielce udało się po wielu rozmowach przekonać kilku opornych, że zdobywając wiedzę poprawią swój własny los. Na pierwszą lekcję przybyło 7 osób, na drugą 11, na trzecią 18 — czyli wszyscy analfabeci ze wsi.

A po kilku miesiącach jedna z kursantek właśnie ta uparta, Helena Szewczyk powiedziała:

„Teraz zrozumiałam, że wiedza to największy skarb na świecie. Już mi byle kto plotką głowy nie zawróci, bo gazety czytam — dodaje z dumą — i wiem co się w świecie dzieje, wiem, kto jest naszym przyjacielem, a kto wrogiem".

Zrozumienie potrzeby nauki na wsi jest zresztą coraz większe. Świadczy o tym stale poprawiająca się frekwencja na kursach, świadczą o tym wzruszające dowody pomocy dla uczących się ze strony sąsiadów. Nierzadkie są wreszcie wypadki, że b. absolwent kursu początkowego nauczania sam organizuje nowy kurs i dba, aby wszyscy nieumiejący czytać uczęszczali na naukę.

Oto znów kilka przykładów:

Na kurs, który odbywa się obecnie w świetlicy PGR Maruny w pow. lidzbarskim, analfabetów dowożą na lekcje ich towarzysze pracy, fornale, absolwenci poprzedniego kursu.

W powiecie Górowo Sławieckie (woj. olsztyńskie) nie było nikogo z nauczycielstwa, więc małorolna chłopka Helena Biudus ze wsi Kandyty sama zorganizowała 2 kursy w gromadach: Augustów i Warszyny. Do współpracy w zaopatrzeniu w sprzęt, opał i światło wciągnęła sołtysa i opiekuna społecznego ze wsi Augustowo, sama w dni powszednie bez względu na mróz, czy słotę, dojeżdżała rowerem na kursy, a w niedziele i święta dodatkowo odwiedzała słabszych uczniów, ażeby im pomóc w nauce. Pragnęła jak najprędzej i jak najlepiej nauczyć swoich słuchaczy. Jej starania przyniosły dobre wyniki. Wszyscy uczestnicy zorganizowanych przez nią kursów zdali egzamin celująco.

W Legnicy Związek Kolejarzy uruchomił nowy kurs nauki początkowej, z którego korzysta 35 osób. Jak uczą się one pilnie, może świadczyć fakt, że jedna z uczestniczek wolała zrezygnować z wczasów niż przerwać naukę. A początkowo ta sama kobieta nie chciała przychodzić na lekcje. Po poznaniu kilku liter zapaliła się do nauki i jest teraz najgorliwszą słuchaczką.

Każdy nauczyciel i działacz oświatowy, zajmujący się walką z analfabetyzmem takich i tym podobnych przykładów przytoczyć by mógł dziesiątki.

KURSY DLA ANALFABETÓW DROGĄ AWANSU SPOŁECZNEGO

Kursy dla analfabetów otworzyły drogę do awansu społecznego dla wielu tysięcy zdolnych ludzi, pozbawionych możności nauki w okresie rządów przedwojennych i okupacji hitlerowskiej.

Absolwenci kursów w wieku od lat 17 — 19 uzyskują możność dalszego kształcenia się w szkołach przysposobienia przemysłowego najróżnorodniejszych gałęzi przemysłu. Skierowania do tych szkół otrzymuje młodzież, która ukończyła kursy dla analfabetów, za pośrednictwem powiatowych komend „SP". Bezpłatna nauka, bezpłatne utrzymanie i internaty umożliwiają młodzieży zdobycie wykształcenia fachowego w przemysłach: metalowym, chemicznym, mineralnym, energetycznym, papierniczym i innych.

Dla młodzieży w wieku od 18 do 20 lat udostępnione są szkłoy przemysłu węglowego.

Absolwenci kursów dla analfabetów w wieku ponad 20 lat mogą pogłębiać swoje wykształcenie i zdobywać nowy zawód w szkołach dla dorosłych. Wielu rolników — absolwentów kursów — zostało skierowanych do szkół specjalistów rolniczych, organizowanych przez Ministerstwo Rolnictwa.

Absolwenci kursów o uzdolnieniach artystycznych, zarówno młodzi, jak i starsi, mogą się kształcić w miejskich i wiejskich ogniskach kultury plastycznej i w szkołach muzycznych.

B. analfabeci po ukończeniu kursów nauki początkowej są często awansowani przez dyrekcje zakładów, w których pracują.

Oto jeden z wielu przykładów awansu społecznego b. analfabety:

Tadeusz Klimek, robotnik leśny, z Obidzy, gmina Łąsko, powiat Nowy Sącz, województwo krakowskie, całe swoje, niedługie, bo zaledwie 33 lat liczące życie, ciężko harował na kawałek chleba. Pochodząc z największej biedoty, nie mógł się uczyć. Był analfabetą. W tym roku ukończył kurs dla analfabetów.

Klimek pierwsze swoje pismo własnoręcznie już napisane skierował do nadleśnictwa. Miał bowiem napisać swój życiorys. W odpowiedzi otrzymał awans na gajowego. Bardzo sumienny i rzetelny w pracy nie mógł jako analfabeta, pełnić odpowiedzialniejszej funkcji. Po zdobyciu umiejętności czytania i pisania rozpoczął nowe życie.

*

Realizacja powszechnego nauczania analfabetów wróci społeczeństwu setki tysięcy wartościowych obywateli. Nikomu nie trzeba dziś w Polsce tłumaczyć jak wielkie to będzie miało znaczenie dla realizacji 6-letniego Planu Budowy Podstaw Socjalizmu w naszym kraju. Nikomu też tłumaczyć nie trzeba, jak wielkie to będzie miało znaczenie dla przyspieszenia rewolucji kulturalnej, która się dokonuje w Polsce.

Jeszcze na jedną sprawę należy zwrócić uwagę. Wśród olbrzymiej armii analfabetów, którzy znajdują się w Polsce, tkwi niewątpliwie potencjalnie wiele ukrytych talentów. Walka z analfabetyzmem talentom tym pozwoli się wyzwolić, wydobędzie je na wierzch. Przykładem możliwości, jakie pod tym względem istnieją, choć objawiają się często jeszcze w sposób dość naiwny, niech będzie osoba biednego szewca z Kalwarii Zebrzydowskiej Stanisława Opyrchały. Na kursie dla analfabetów Państwo Ludowe dało 56-letniemu Stanisławowi Opyrchale możność opanowania umiejętności czytania i pisania. Po opanowaniu tej umiejętności Opychała zaczął pisać wiersze.

Oto jeden z jego wierszy, zatytułowany: „Co widziałem na obrazku?" (w elementarzu „Start").

Budują fabryki, osiedla wspaniałe —
Sobie na pożytek, Ojczyźnie na chwałę.
Bo polski robotnik okryty jest chwałą —
Wybuduje Polskę piękną i wspaniałą.
Bo polski robotnik ma tę wadę w sobie—
Przestanie pracować, aż go złożą
w grobie.
Tu zaś rolnik pługiem czarną ziemię
orze,
Bo się wiosna zbliża trzeba zasiać
zboże.
Siłą robotników wesprzeć chłopów
trzeba,
By w naszej Ojczyźnie nie zabrakło
chleba.

Juliusz Pollack.

Foto AR

Uczestnicy kursu nauki początkowej defilują podczas uroczystości w Sieradzu

MARIAN BRANDYS

Bańczyk z Nowej Huty

O godzinie 4-ej po południu donośna syrena Nowej Huty oznajmia zakończenie pracy. Przez olbrzymią budowę przebiega wtedy końcowy dreszcz, końcowe przeciągnięcie się przed spoczynkiem. Grupa spalo.. h na mahoń betoniarzy wygładza po raz ostatni drewnianymi prasami powierzchnię nowego chodnika przed budynkiem SPB. Weseli dekarze opuszczają się z dachów, przy akompaniamencie rubasznych okrzyków i żartów. Ławy pod budynkami obsiadają zmęczeni zamorusani mężczyźni i kobiety w granatowych kombinezonach. Na budowie po prawej stronie drogi pomocnicy murarscy odstawiają z hałasem taczki a elektromonterzy wyłączają prąd z potężnych transporterów. Pod okienkiem spółdzielni, w której sprzedają piwo, ustawia się kolejka spragnionych ludzi. Granatowi ZMP-owcy i zieloni SP-owcy pośpiesznie wyciągają z ziemi czerwone proporce znaczące młodzieżowe odcinki pracy i formują się w malownicze kolumny marszowe. Piękne autobusy PKS-u, odwożące do Krakowa robotników zatrudnionych przy budowie, zbijają się na szosie w zgiełkliwy i niemożliwy do przebycia zator.

Foto Węglowski

Junacy jednej z brygad ZMP-owskich w Nowej Hucie

Syrena głosząca fajrant góruje nad całym tym ruchem i hałasem. Jej przeraźliwy ochrypły ryk, przenikający wielokilometrowe tereny budowy, wspina się do ogłuszającego zenitu, a następnie opada w przeciągłym jękliwym buczeniu. Cisza, która następuje po nim, jeszcze przez dłuższą chwilę dzwoni w uszach.

Stwierdzam nie po raz pierwszy, że głos syreny działa w dziwny sposób na Bańczyka. Jego mała główka wesołego bystrego foksterierka, osadzona czujnie na mocnej szyi, wysuwa się wówczas ku przodowi, jakby węsząc — a na jasnej twarzy miejsce zwykłego uśmiechu zajmuje wyraz zadumanego zasłuchania. Trwa to oczywiście tylko przez chwilę. Zaraz po tym skośne nieco oczy Bańczyka zmieniają się znowu w dwie roześmiane szparki. Chłopiec odrzuca do tyłu włosy i połyka szybko szerokie westchnienie. Wiem bez słów, że tę krótką chwilę Bańczyk poświęcił pamięci ojca.

Ten dawno zmarły ojciec Bańczyka stanowi jeszcze ciągle dla dwudziestodwuletniego instruktora zarządu ZMP w Nowej Hucie — niewyczerpane źródło dumy i żalu. Bańczyk opowiada o ojcu chętnie i często. Z jego oszczędnych słów, akcentowanych po krakowsku na pierwszej sylabie, wyłania się jak żywa postać zmarłego hutnika, zachowana trwale w najgłębszych pokładach synowskiej pamięci.

Świetnym chłopem musiał być ten starszy Bańczyk — hutnik w drugim już pokoleniu. Od ósmego roku życia na hucie. Od najniższych funkcji pomocniczych, przez niezwykły trud i niezwykły hart ducha, do stanowiska wykwalifikowanego hutnika. Zawsze pierwszy w pracy i w polityce. Aż do decydującego przełomu, który nastąpił u progu wieku męskiego i zaciążył na całym pozostałym życiu. We wczesnych latach trzydziestych, podczas jednego z rozpaczliwych strajków na hucie, starszy Bańczyk wywiózł z fabryki na taczkach szczególnie znienawidzonego przez robotników dyrektora. To przesądziło o jego losie. Wpisano go na „czerwoną listę". I naraz okazała się, że dla świetnie wykwalifikowanego hutnika w pełni sił nie ma miejsca w żadnej z hut polskich. Kapitał mścił się na swym wrogu okrutnie i konsekwentnie. Gdziekolwiek przyszedł, odprawiano go z kwitkiem. Jeżeli otrzymywał pracę — to zawsze na krótko i zawsze poniżej swych kwalifikacji, na najniebezpieczniejszych posterunkach. W czasie jednego z takich sezonowych zajęć „czerwony" Bańczyk padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku i wyszedł z fabryki inwalidą. Proces sądowy z dyrekcją przegrał. Osłabiony organizm poczęła zżerać ciężka choroba. Nastały lata nędzy i głodu.

Kiedy zabrakło pieniędzy na utrzymanie rodziny, matka wywiozła małego Pawła do swego ojca na wieś podkrakowską. Gdy Paweł Bańczyk wspomina te lata swego pobytu „na letnisku" u dziadków — jego szczęki zwierają się twardo. Nie było to wesołe. W parę dni po odjeździe matki, w mroźny listopadowy poranek, stary chciwy chłop wziął na plecy bosego siedmioletniego wnuka i zaniósł go na pracę do zamożnego gospodarza z sąsiedniej wioski. Wtedy dopiero zaczęło się prawdziwe „letnisko". Przez cały boży dzień uganianie się za bydłem. Bolesne razy i potrącania przy każdej okazji i bez okazji. Podarte porcięta opadające z głodnego brzucha. I ani jednego dobrego słowa. Tak trwało przez dwa lata. Po dwóch latach chłopak miał tego życia dosyć i uciekł pieszo do Sosnowca — do rodziców.

W małej izdebce, wypełnionej gryzącymi oparami mydlin i dzielonej z obcymi ludźmi, dziewięcioletni Paweł Bańczyk odnalazł postarzałą matkę, schyloną nad balią, i umierającego ojca. Czerwony hutnik dobiegał końca swych dni. Właśnie w tych ostatnich chwilach życia jego ulubionym zajęciem — obok kryjomej lektury zniszczonych broszurek marksistowskich — stało się słuchanie syren licznych fabryk sosnowieckich. W południe unosił się z wysiłkiem na swym barłogu — wynędzniały do ostatka i zupełnie już siwy przy latach niespełna czterdziestu — kierując pełen napiętego oczekiwania wzrok w stronę zasnutego parą okienka. Gdy odzywały się syreny, na zapadłe usta umierającego hutnika wypełzał błogi uśmiech. — Słyszysz, Pawełku — powtarzał wśród świszczących bolesnych wydechów — to gra buda Lamprechta, a to „Hrabia Renard", a to nasza „Katarzynka". Potrafię rozróżnić je wszystkie. Słyszysz, chłopcze? — I śmiał się cicho, radośnie, póki nie przerywał tego śmiechu ciężki dławiący atak kaszlu.

Umarł, trzymając rękę w dłoniach syna. Ostatnim tchnieniem wyszeptał: — musimy być twardzi, synku.

Tej przedwczesnej, niesprawiedliwej śmierci ojca Paweł Bańczyk jeszcze nie odżałował. — Dziś ojciec by nie umarł na tę chorobę. Leczył by się w sanatoriach w Zakopanem, w Szczawnicy. Kto, jak kto, ale on miałby do tego pełne prawo.

Dwa lata pobytu na wsi, upamiętnione podkrakowskim akcentem na pierwszej sylabie i gryzącym osadem goryczy, ostatnie chwile przy umierającym ojcu i pozostałe po nim: żal, chęć odwetu, zamiłowanie do syren fabrycznych i nielegalne broszurki polityczne — wszystko to razem złożyło się na to, że Paweł Bańczyk — na długo jeszcze przed wybuchem polskiej rewolucji — zrozumiał naukę Marksa, Lenina i Stalina.

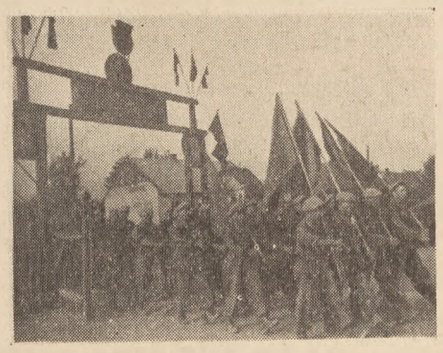

Foto Węglowski

Powrót z pracy przy budowie

Paweł Bańczyk jest obecnie moim przewodnikiem na terenach budowlanych Nowej Huty. Każdemu pisarzowi zwiedzającemu wielką i skomplikowaną budowę życzę takiego przewodnika, jakim jest ten młody instruktor zetempowski. Bańczyka nie trzeba prosić o przewodnictwo. Ilekroć opuszczam po jakimś zebraniu biały dom zarządu ZMP w Nowej Hucie, Bańczyk czatuje już na mnie w którymś z punktów budowy — jak zawsze, wyprostowany, jasny, czujny, w swoim ubiorze zetempowskim i nieodłącznym czerwonym krawacie — i już z daleka przyzywa mnie serdecznym uśmiechem. Potem włóczymy się po budowie aż do fajrantu.

Budowa Nowej Huty jest dla Bańczyka niewyczerpanym rezerwuarem ciągle nowych radości i zachwytów. Nie zdarza się nigdy, aby przechodząc obok którego z nowowybudowanych domów, nie pogłaskał czule jego białego muru. Przy ogromnych podziemnych piecach centralnego ogrzewania, ofiarowanych Nowej Hucie przez inżynierów radzieckich, potrafi tkwić całymi godzinami. Cieszy się jak dziecko, że wszystkie domy w Nowej Hucie będą silnie nasłonecznione. Bo przecież w tych domach zamieszkują hutnicy. A słońce — to jest dla hutników zdrowie, to zabezpieczenie przed gruźlicą.

Obowiązki w stosunku do mnie Bańczyk traktuje bardzo poważnie. Pragnie przelać we mnie jako w pisarza całą swą miłość do powstającego miasta. Jest niestrudzonym sumiennym oprowadzaczem. Odsłania przede mną wszystkie tajniki budowy. Wprowadza mnie we wszystkie zakamarki. Zmusza mnie do przechodzenia przez najtrudniejsze przejścia. Każe mi wspinać się na rusztowania i schodzić pod ziemię. Kiedy zdarza się, że pragnę przez chwilę odpocząć, spogląda na mnie z lekkim wyrzutem i natychmiast przywołuje mnie do porządku:

— Jesteście przecież pisarzem. To was powinno chyba interesować.

I ruszamy dalej. Bańczyk uczy mnie Nowej Huty. Wbija mi w głowę wiedzę o Nowej Hucie. Kiedy przychodzimy do miejsca skąd widać całą budowę, przewodnik zakreśla ręką szeroki krąg:

— Pomyśleć tylko, że kiedy zboże sięgało do kostek, nie było tu jeszcze nic, a dzisiaj kiedy zboże idzie pod kosy, jest już całe miasto.

Jego skośne oczka nikną niemal zupełnie w fałdkach szczęśliwego śmiechu, a na twarz pada jakby odblask słońca.

Ale nie myślcie, że Bańczyk zawsze jest taki wesoły. Ostatniej niedzieli poznałem także jego gniew.

Na tak wielkiej i trudnej budowie, jak Nowa Huta, praca nie zamiera całkowicie nawet w niedzielę. Te wolne od pracy obowiązkowej dnie stają się polem popisu dla wszelkiego rodzaju czynów ochotniczych. W ostatnią niedzielę z takim właśnie czynem ochotniczym wystąpiła jedna z tutejszych brygad zetempowskich. Kilku uczestników tej brygady, pochodzących z gminy, która tworzyła w tym czasie spółdzielnię produkcyjną, rzuciło hasło: niechby brygada ufundowała dla tej spółdzielni traktor. Hasło poszło po namiotach, jak iskra po słomie. Absolutną większość junaków w brygadzie stanowili synowie biednych chłopów. Pomysł podarowania traktora spółdzielni produkcyjnej przejął ich prawdziwym zapałem — jak zawsze prawdziwym zapałem przejmuje piękna idea ucieleśniona w konkretnym i dobrze znajomym kształcie. Zrobiono niezwłocznie krótki rachunek i obliczono, że dla zdobycia pieniędzy na traktor brygada musi przepracować dwie niedziele. Ostatnia niedziela wypadła właśnie na pierwszą z tych „traktorowych" dniówek.

Jednemu z oddziałów brygady wyznaczono pracę przy bocznicy kolejowej. Chłopcy mieli przeładować świeżo przywiezione cegły i pustaki z wagonów kolejowych do wielkich przyczep samochodowych, które podstawiały pod bocznicę ciągniki. Pierwsze przyczepy załadowano w tempie rekordowym. Kiedy jednak ten pierwszy transport odjechał na budowę — okazało się, że dalsze ciągniki z przyczepami z niewiadomych przyczyn nie nadchodzą.

Z czego wynikło, to opóźnienie, trudno powiedzieć. W tak olbrzymim mechaniźmie, jak budowa Nowej Huty, zdarzają się czasem takie nieprzewidziane zacięcia. Spowodowała je zapewne czyjaś gnuśność w połączeniu z rozluźnioną dyscypliną dnia świątecznego. W każdym razie było to zacięcie łatwe do usunięcia. Wszystko zależało od dobrej woli technika pełniącego wówczas dyżur na budowie. Jeden jego krótki spacer do pobliskiego baraku PKS-u, jeden telefon do kierownictwa mógł sprowadzić opóźniające się ciągniki. Ale technik dyżurujący tej niedzieli nie był człowiekiem dobrej woli i należał raczej do przeklętego gatunku bumelantów. Ponadto, mimo że był młodym szpicem, dał się już uprzednio niejednokrotnie poznać jako zdecydowany przeciwnik młodzieży ZMP-owskiej, dlatego też nie przejął się zupełnie interwencją zaniepokojonych junaków i pozostawił sprawę jej własnemu biegowi.

Niepotrzebny przestój pracy przeciągał się coraz bardziej, chłopcy zaczęli głośno okazywać niecierpliwość i niezadowolenie. Przestój opóźniał realizację czynu, do którego zdążyli się już przywiązać. Bezczynna grupa rozsiadła się na wpół opróżnionych wagonach i poczęła chóralnie skandować: — daj-cie ciąg-ni-ki, daj-cie ciągniki, daj-cie ciąg-ni-ki.

Te krzyki rozzłościły widocznie dyżurnego technika. Kiedy junacy przyszli do niego z powtórną interwencją, odpowiedział im prowokująco: — Nie zawracajcie mi głowy waszym czynem. Ciągników z kieszeni nie wytrzasnę. Zresztą jest niedziela. Możecie sobie odpocząć.

Wtedy zniecierpliwionych chłopców ogarnął szał wściekłości. Wszczęło się ogólne zamieszanie. Ktoś krzyknął: — Związać tego drania i zanieść go przed partię.— Rozsierdzeni junacy ruszyli ławą na technika.

Hałas zajścia na budowie dotarł do białego domu Zarządu i zaalarmował grupę starszyzny zetempowskiej. Pobiegliśmy kłusem w kierunku bocznicy kolejowej. Przybyliśmy jeszcze na szczęście w sam czas, aby uwolnić z opałów technika i uspokoić rozjątrzoną młodzież.

Mimo to wracaliśmy od bocznicy w nielada podnieceniu. Cóż za chryja. Zawinił oczywiście technik. Plącze się wśród nas jeszcze sporo takiego leniwego i prowokującego draństwa. Ale junacy zareagowali także niewłaściwie. Zbyt gorąco. Wieść o tym pójdzie piorunem po całej budowie i zostanie w lot wykorzystana przez elementy nieprzychylne ochotnikom zetempowskim. I tak już naskakują na młodzież. A teraz jeszcze zarzut chuligaństwa. Co za awantura.

Jeden Bańczyk nie brak żadnego udziału w tej ożywionej dyskusji. Szedł obok mnie dziwnie spochmurniały i milczący, pogrążony w ciężkim zamyśleniu. Dopiero przy samej szosie — kiedy pozostaliśmy nieco w tyle za resztą kolegów — przyjaciel mój jakby się ocknął i rzucił nagle przez zaciśnięte zęby:

— Nie trza było chłopakom przeszkadzać. Niechby onego powiedli przed partię. To przecież wróg.

Pogodna zazwyczaj twarz zetempowca stała się przy tych słowach mściwa i zła. Tak zapewne wyglądał jego ojciec, gdy przed dwudziestu laty wywoził na taczkach z fabryki klasowego wroga.

Marian Brandys

TADEUSZ URGACZ

SŁOWO O LUCYNIE HERTZ

I

Orkanem pędzi nasz wiek,
przerzuca historii karty.
Historię robią ludzie
piękni, mądrzy i twardzi.

Śmierć rezydentom i katom!
Śmierć parlamentom nicmrawym! —
niesiemy śmierć, komunardzi,
przemocy rządom nieprawym.

Idziemy na bój ostatni
stary porządek obalić.
Z nami jest Związek Rad
i wielki przyjaciel Stalin.

*

Mijają lata.
U nas
rzecz robotnicza się dzieje.
Czy słyszysz, towarzyszko?
Czy słyszysz nas, towarzyszko?

II

Poruczniku Lucyno Hertz,
kto was w biały obłok zamienił?
Jak księżyca świetlisty śnieg
zlecieliście z nieba na ziemię.

W lasach chłopcy z Armii Ludowej
wciąż na niebie szukali was,
aż spadniecie z nocnej chmury,
wy, najmilsza z partyzanckich gwiazd.

W spadochronu chmurze powiewnej,
z twarzą ciepłą od uśmiechu,
przywieźliście wtedy żołnierzom
pozdrowienia z Kraju Sowietów.

Potem długie były rozmowy,
od machorki swędziło w oczach.

Faszystowskie przerwały czołgi
powitalną gawędę nocną.

Lecz nim pierwsza zagrzmiała salwa,
nim nas pożar bitwy zapalił,
jak naboje
daliście nam słowa:
wolność,
przyjaźń,
szczęście,
socjalizm.
Nieśmiertelni ci, co potrafią
amunicję wyrabiać z serc
tak jak wy, towarzyszko,
poruczniku Lucyno Hertz.

III

Pepesze w pięściach dzierżycie,
oddechu nabrać po gardło —
zaczynasz się, nareszcie,
ostatnia batalio.

Wisła biała, wrześniowa —
na niej księżyca złoto.

Szliśmy do ciebie, Warszawo,
długo, mężnie i prosto.

Więc pozwól, nim bój się zacznie,
powiem ci jeszcze dwa słowa:
podniesiemy cię z prochu i pyłu,
nasza stolico ludowa.

Będziesz pachniała tynkiem
i w żelbetonie krzepła,
szumiała gorącą czerwienią,
nasza stolico piękna.

I polscy fizylierzy,
razem z Czerwoną Armią
w bój poszli.

A była z nimi dziewczyna
o oczach piękniejszych niż chmury.

Śmierć niosą granaty wroga...

Dziewczyno, dziewczyno,
dziewczyno...

IV

W szpitalu zapach kwiatów walczy
z zapachem jodu i bandaży.

W południe, kiedy słońce świeci,
doktorze,
wolno chociaż marzyć?

Lecz to jest noc.
Na ścianie pająk
nić krótką kończy i przepada.

Doktorze,
nogi... bolą.

Nogi
rozerwał faszystowski granat.

Przysłońcie lampę.
Wiatr jesienny
zimny jak śmierć
niech tu nie wchodzi.
Tu wolno tylko słońcu śpiewać,
gdy jak niemowlę dzień się rodzi.

Doktorze,
słyszysz?
Ryczą działa,
żołnierze zwyciężają śmierć.
Ja,
zrozum,
z nimi muszę być...

Jesteście, towarzyszko Hertz.

Powiedz,
Warszawa wzięta... już?
I bije śmierci puls wysoki
gorączką w termometru słup.

*

Ranki jak kukurydza złote,
dostatnie dni, spokojne noce
śmieją się naszym młodym życiem.
Cóż śmierć?
My wiemy:
śmierci nie ma.
Jest tylko nasza trudna walka
o świat piękniejszy niż poemat.

Chwała tym, którzy broń przy boku
dzierżąc —
odparli śmierci nawał
i poszarpani granatami
oddali swoją młodość światu,
oddali światu wieczny pokój —
tym niechaj wieczna będzie chwała.

V

Płaczki cię nie opłaczą,
po cóż żałobne werble,
ty przecież w gwiazdach ognia
padłaś na pierwszej linii,
niech płonie jak pochodnia
twoja ludowa sława,
poruczniku Lucyno,
kapitanie Lucyno.

Wieją wiatry pomyślne,
grzmią traktorów basy
weszłaś w nieśmiertelność,
w poematy pracy
i twoja twarz surowa
w nich się uśmiecha — żywa,
poruczniku Lucyno,
kapitanie Lucyno.

Orkanem pędzi nasz wiek
naprzód, przez morza i lądy.
Po nowy, słoneczny ład,
idziemy, komunardzi.
Pali się czerwień krawatów,
bijemy trakty w socjalizm
a bohaterów imiona
dzierżymy wysoko,
wysoko.

(Utwór z repertuaru programowego Domu Wojska Polskiego)

Foto Węglowski

ZMP-owscy przodownicy pracy w Nowej Hucie

W PIERWSZYM ROKU PLANU SZEŚCIOLETNIEGO

Foto AR

ZMP-owiec Zygmunt Bruder tokarz zakładów mechanicznych „Ursus" w III kwartale osiągnął 184 procent normy

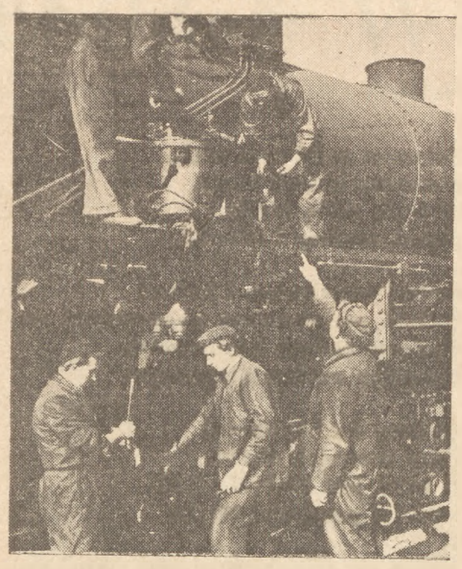

Foto AR

Przodownicy pracy ZMP-owców przy remoncie parowozu w parowozowni Warszawa Praga

Foto AR

Odbudowa Gdańska

Foto AR

Junacy jednej z brygad ZMP-owskich zbudowali przed swymi namiotami model osiedla robotniczego w Nowej Hucie

U dołu: trójka murarska ZMP-owców oddziału Gdańskiego SPB (murarz Antoni Kanczkowski, pomocnicy: Bernard Rykowski i Marian Świderski) na budowie w Nowym Porcie ustanowiła nowy rekord w murarstwie wykonywując w ciągu 8 godzin 75,64 m sześc. muru

Foto WAF

Foto AR

Letnie kolonie dla dzieci w Zakopanem

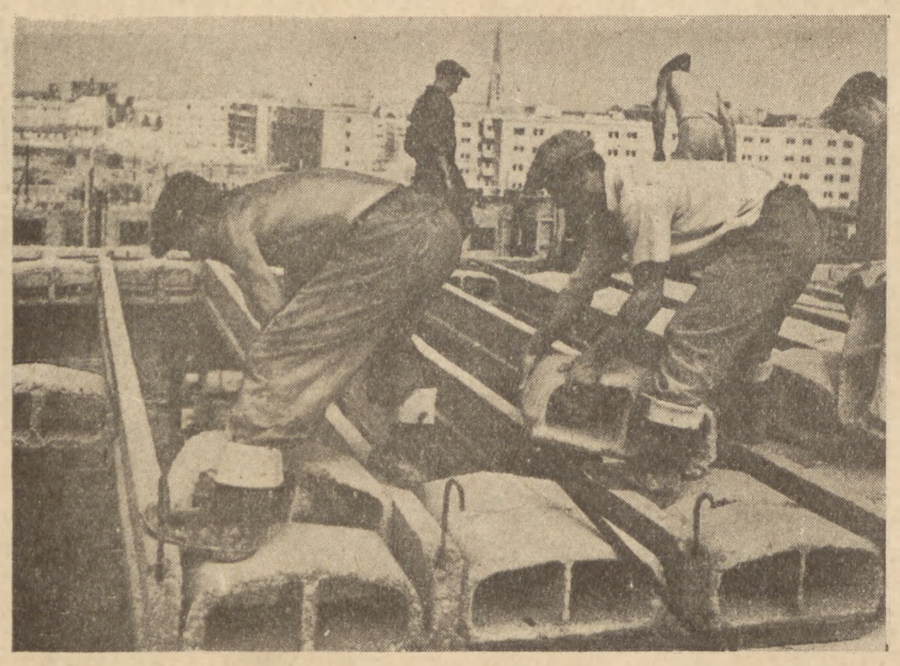

Foto AR

Budowa Osiedla Robotniczego na Muranowie

JÓZEF HEN

W LUBLINIE*)

Rys. Cygańska-Walicka

Generał rozpłakał się, wycierał wierzchem dłoni oczy.

Tłum kipiał, falował, płynął, szumiał, śpiewał „Rotę" i „Jeszcze Polska". Domy rozkołysały się biało-czerwienią, krzyczały rozpętanymi orłami (nareszcie! nareszcie!), okna otworzyły się na oścież — wychylały się przez parapet głowy, powiewały chusteczki. Słońce pławiło się w niebie, grzało sztandary, paliło twarze.

Marysia przepychała się przez tłum — z torbą lekarską na biodrze, z pepeszą na piersi. Ustępowano jej drogę, podziwiano: — Patrzcie, baba z rozpylaczem... Ktoś zażartował: — Dziurawe wojsko. — Chciała mu powiedzieć: — Panie, żebym ja pana nie przedziurawiła; — ale dała spokój, nie mogła się gniewać, w gardle dusiło ją ze wzruszenia, a płakać wstyd. Za nią szedł kapitan Łobziewicz, niski, krępy, jasnowłosy — i chorąży Gladson, filigranowy, czarnooki, łysawy.

Łobziewicz następował jej na pięty, krzyczał w ucho:

— Nie zgub się, Wiśniewska, pamiętaj.

Odwracała głowę, odpowiadała z uśmiechem:

— Nie zgubię się, szpilką nie jestem.

Niepotrzebnie ubrała te portki — fałdują się na biodrach, poszerzają ją. „Wyglądam jak kloc".

— A umie pani z tego em-pi strzelać? — usłyszała.

Odpowiedziała, nie wiadomo komu, w tłum:

— To nie jest em-pi, tylko pepesza. Ustaw się pan, to sprobujemy, czy umiem.

I poszła dalej. Spociła się, mundur przemókł pod pachami. Rozpiąć by bluzę... Nie, nie można, ludzie patrzą — trzymaj się, dziewczyno... Znów śpiewają, huczą: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród". Źle jej się dziś śpiewa, ochrypła od krzyku i kurzu, podniecenie tamuje głos. Stanęła na baczność, łzy spływają po policzkach: już Lublin. Jeszcze krok — i dom — Warszawa, ulica Leszno. Obok niej stał jakiś maleńki staruszek, śpiewał piskliwym głosem „Tak nam dopomóż Bóg". Potem zdjął okulary, przetarł je chusteczką, zauważył dziewczynę w mundurze, wspiął się na palcach:

— Pozwól, żołnierzyku, ucałuję cię.

Marysia nachyliła się, staruszek przytulił spiekłe wargi do jej policzka, połaskotał szczeciniastym zarostem. W tłumie krzyczeli wesoło:

— Ja chcę też! dla mnie też!

Generał z zaczerwienionymi oczyma, brodził przez tłum do swego Willysa. — Jaki postawny! — wrzasnął ktoś z boku. — Ruski? — zapytał inny. — Nie! Nasz! — A kto go wie! może ruski? — Nasz! Nasz!... — A ja myślałem, że ruski — zwierzał się jakiś głos, niemal z rozczarowaniem.

Tłum rozpłynął się, rozlał się z placu po ulicach...

Na ulicach zbierały się grupki ludzi przed rozlepionymi plakatami z tekstem Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Czytano i komentowano na głos. Niektórzy zdejmowali przy tym czapki — wydawało im się, że tak będzie najprzyzwoiciej. Marysia wepchnęła się w tłum czytających. Obok Manifestu wisiało odręcznie napisane zawiadomienie, że dziś w sali teatru odbędzie się wiec robotniczy. „Wszyscy pracujący na wiec!" — przeczytała Marysia. — Acha, to i ja pójdę — zdecydowała. Zobaczy, jak to będzie wyglądać w tym Lublinie.

W stronę teatru szli robotnicy. Dużo było wśród nich młodych chłopaków w rogatywkach lub beretach, z niemieckimi automatami przerzuconymi przez ramię. Partyzanci — domyśliła się Marysia. Niektórzy nosili na rękawach czerwone opaski, wszyscy mieli na czapkach biało-czerwone naszywki. Szli podnieceni, radośni, przejęci. Dwaj robotnicy rozmawiali ze sobą:

— Zobaczysz, pierwsze ruszą koleje.

— Nie ruszą. Bez Niemców nie damy rady.

— Gadaj! Lubię takich. Dlaczego mielibyśmy nie dać rady? — w głosie robotnika można było wyczuć nutę oburzenia.

Marysia uśmiechnęła się. Chciała się wtrącić do tej rozmowy, ale tłum porwał ją i wepchnął do westibulu teatru. Stamtąd wpłynęła do sali.

Sala była zatłoczona, powietrze było gęste. Wiec już się rozpoczął, przemawiał właśnie jakiś major. Nad stołem prezydialnym wisiało biało-czerwone płótno. Gęstwa szorstkich, nieefektownie ubranych ludzi przysłuchiwała się uważnie słowom mówcy. Marysia przyjrzała się majorowi — znała go, no tak, był to dość znany literat; dziwne, że on właśnie prowadzi robotniczą masówkę. Mówca, wysoki, ciemnowłosy, kończył gardłowym głosem:

— Miasto musi ruszyć. I to z miejsca! Wasza to sprawa i wasz obowiązek. Jutro na Spokojnej będą już pracować wszystkie reporty. Zgłaszajcie się do pracy. Teraz praca będzie egzaminem dojrzałości politycznej!... — Odetchnął i dodał już bardziej apatycznie: — Proszę o zapisywanie się do głosu.

Zrobił się hałas. Jedni oklaskiwali mówcę, inni naradzali się. Marysia zauważyła, że przy stole prezydialnym siedzi radziecki oficer, zdaje się, że pułkownik, wysoki, barczysty, z wieloma orderami na piersi. Siedziało tam jeszcze kilku cywilów, dwóch z nich należało do składu PKWN.

Do stołu prezydialnego dopchał się starszy już robociarz w granatowej bluzie. Spojrzał pytająco na prezydium. Kilka osób skinęło mu głową — że można, wal bracie, co masz na sercu. Robotnik zdjął czapkę, położył ją na stole. Teraz wszyscy mogli zobaczyć, że był już mocno szpakowaty. Wzbudzało to szacunek, takiego to warto posłuchać. Mówca z niego widać słaby — miętosząc w ręku czapkę zaczął:

— Ja jestem elektryk.

I urwał. Ktoś obok Marysi szepnął niecierpliwie:

— No gadaj...!

Elektryk zebrał się w sobie i nagle wybuchnął:

— Ja myślę, towarzysze, tu nie ma czego zapisywać się do głosu. Robić no to robić. Nie dla Niemca przecież, nie dla kapitalistów, ale dla naszej Polski. Tak czy nie? Jutro stawiamy się wszyscy na Spokojną i każdy do swojego resortu. Gadać tu dużo nie trzeba.

Z tylnych rzędów ktoś krzyknął:

— A może trzeba? Coście tacy prędcy?

Kilka głosów potwierdziło:

— Pogadać trzeba, od tego jest wiec!

Elektryk krzyknął:

— Dobrze, racja! jak gadać to gadać! No to ja zaczynam. Ja wam powiem: elektrownia musi ruszyć. Elektrycy jeszcze dziś przystąpią do roboty. Są tu elektrycy na sali?

— Są! — odezwało się kilka głosów.

— Pójdziemy dziś do roboty! Dzisiaj, chłopcy. Miastu trzeba światła! Nie będziemy się przecież bawili w ciuciubabkę. Koledzy, prosto stąd ruszamy do elektrowni!

Major wstał i krzyknął:

— Brawo, elektrownia! Niech żyją!

Wrzask „niech żyją!" wstrząsnął ścianami teatru. Mówca pokraśniał z zadowolenia. Krzyknął:

— No co, chłopcy, to jest robota, co?

Owacje trwały kilka minut. Kiedy uciszyło się, wstał radziecki pułkownik i oświadczył, że rozpoczęcie pracy dzisiaj jest niemożliwe, bo elektrownia jest jeszcze nie rozminowana. Jednakże do rana saperzy Armii Czerwonej zakończą rozminowywanie i jutro będzie można zacząć remont. Stary elektryk skinął głową i powiedział:

— No więc, dobra. Kto rozumie robotę, kto ma chęć do pracy, jutro o ósmej przed elektrownią. Z narzędziami!

Elektryk zabierał się już do odejścia. Wtedy właśnie stojący obok Marysi młody, jasnowłosy robotnik odezwał się:

— Czekaj pan, panie Kobylak. Wszystko fajno — fajno, ale czym pan będziesz płacił?

Stary elektryk spojrzał w stronę stołu prezydialnego. Sala zamilkła. Major wstał i oświadczył:

— Polskimi złotymi. Biletami Banku Narodowego.

Te słowa wywarły silne wrażenie. Tylko blondyn wydawał się być niewzruszony.

— A ile? — zapytał.

— Tego jeszcze nie wiemy.

Na sali zrobiło się poruszenie. Ludzie rozgadali się. Zaczęły się dyskusje. Młody robotnik skinął głową i wykrzywił usta: no tak, wiedział, na co się zanosi. Ktoś krzyknął z głębi sali:

— Na życie starczy, czy nie?!

Major odpowiedział:

— Nie wiem, czy starczy na życie. Chyba nie... — Przez chwilę milczał i nagle zaczął mówić szybko, z pasją: — Kiedy nasi żołnierze idą na front, też nie są pewni, czy wrócą stamtąd żywi. Nie mamy rezerw pieniężnych. Nie mamy rezerw żywnościowych. Mamy trzy zniszczone województwa, swoich pięć palców i pomoc Armii Czerwonej. To wszystko. Mamy tu zalążek polskiego państwa. Kto z was kiedy widział, żeby wielkie rzeczy zaczynało się od luksusów? Będziemy pracowali w ciężkim znoju i może nieraz w głodzie — i będziemy budowali dla siebie szczęśliwą przyszłość. Nie obiecuję nikomu złotych gór. Początek jest zawsze trudny. Ale kto go ma za nas odwalić? Sami musimy. Będzie można płacić więcej — zapłaci się więcej. Zorganizujemy stołówki. Będziemy wydawali racje chleba, przebiedujemy jakoś ten najgorszy okres. Tak, czy nie?

— No pewnie! — rozległy się okrzyki.

— Gorzej bywało!

— A bezrobocie? To była bieda!

Major huknął:

— A komu zależy tylko na zarobku, kto nie czuje Polski, nie czuje nowej ery w życiu naszej klasy robotniczej — niech idzie na bazar! Handlować! Szmuglować! Żydowskie rzeczy spławiać! To się opłaci! Tak się Polskę zbuduje w trymiga! Na bazar! Proszę!

— Niech idzie! Jak za Niemca! — krzyknął stary elektryk.

— A może właśnie? — odezwał się flegmatycznie młody robotnik stojący obok Marysi. — Posłuchałbyś pan, co dziś rano Londyn mówił o tym PKWN-nie, to byś może inaczej gadał.

Kobylak trzasnął pięścią w stół:

— Cicho, smarkaczu! Co ty możesz wiedzieć o tym, kto gada w Londynie?! Nie brałeś z nami przed wojną udziału w strajkach! Nie siedziałeś, pętaku, w więzieniu! — (major dawał mu znaki ręką, żeby wyrażał się oględniej, ale elektryk nie zważał na to, rąbał swoje). — To wrogi nasze, zawzięte wrogi robotnika, a ty mleko masz pod nosem i włazisz głupim ryjem w nieswoje koryto. Londyn!! Dobrze im tam szczekać na angielskim chlebie. Tu jest Lublin! Słyszałeś? Miasto musi ruszyć! Polskę robotniczo-chłopską trzeba budować! Będziemy czekali, aż nam Anglicy zremontują elektrownię i wodociągi, czy co, u diabła? Jutro stawiać się do roboty, kto robotnik i koniec! A kto szuja — wont, na bazar!

Zerwały się oklaski. Kobylak zeszedł ze sceny i wcisnął się w tłum. Teraz wśród nieustannego hałasu podchodzili do stołu prezydium coraz to inni mówcy. Tak, miasto musi ruszyć. Więc wodociągi. Wodociągowcy i kanalizatorzy stawią się jutro do pracy. Postarają się, ażeby miasto jak najszybciej odzyskało wodę. Potem brukarze. No jasne, że stawią się do pracy. Jakoś się wyżyje. Coś tam zawsze człowiekowi kapnie. Byli Niemcy, to trzeba było kombinować. Teraz nie będziemy kombinowali — będziemy pracować. Tak samo drukarze — jutro będą przy pracy. O 8-mej, panie majorze. Potem zgłaszali się robotnicy fabryczni. Jakoś to będzie. Trzeba przecież — kto będzie pracował, jeśli nie my? Klasa robotnicza — kto proletariusz, ten się na tym rozumie! Lump niech idzie w diabły, nie trzeba nam takich.

Nastrój uczynił się podniosły. Marysia była wzruszona. Korciło ją, żeby coś powiedzieć, przemówić, podziękować, może w imieniu żołnierzy 1-szej dywizji, sama nie wiedziała jak. Ale nie mogła przemóc onieśmielenia. Tymczasem deklaracje skończyły się i major znów zabrał głos:

— Obywatele! Towarzysze! Cieszę się, że nie zawiedliście zaufania ludzi, którzy wzięli na swoje barki trud budowania fundamentów Polski demokratycznej. Cieszę się, że polska klasa robotnicza, chociaż tak gnębiona była przez okupanta, jest dziś tak samo bojowa, jak wówczas, kiedy się z nią rozstawałem. Niech żyje Polska! Do Roty!

Obnażyły się głowy. Zapał ogarnął robotników. Śpiewano, krztuszono tragiczną przysięgę poprzez dławione napływającymi łzami gardła. Kiedy skończono śpiew, rozległy się okrzyki na cześć PKWN, rządu robotniczo-chłopskiego i bratniej Armii Czerwonej. Owacje trwały jeszcze parę minut. Marysi ręce opuchły od oklasków. Wreszcie za stołem prezydialnym wstał jakiś cywil, jeden z członków rządu, i ciepłym, miękkim głosem powiedział:

— Obywatele, pierwszy wiec robotniczy w wolnej, demokratycznej Polsce uważam za zakończony.

Marysia odwróciła się już do wyjścia, kiedy nagle zatrzymał ją ostry głos:

— Zaczekajcie!

Wszyscy zatrzymali się. Do stołu prezydialnego przeciskał się szczupły, przygarbiony trochę mężczyzna, z szeroką szramą biegnącą przez czoło. Wargi mu drżały ze zdenerwowania. Podszedł, zdjął czapkę i zaczął mówić drżącym głosem:

— Towarzysze! Ja myślę, że tutaj nie ma się czego wstydzić. Tutaj jest sama robotnicza wiara. Jeśli ktoś nie jest robotnikiem z duszą, to niech sobie pójdzie stąd precz, tegośmy na wiec nie wołali. Ja myślę, towarzysze, że tu nie ma się czego wstydzić. Zaśpiewajmy Międzynarodówkę, towarzysze. To jest nasz hymn! To nasza pieśń!

— Racja!

— Racja!

— Cicho! Dlaczego Międzynarodówkę?

— Nie wszyscy są tu komuniści!

— Zaśpiewać każdy może!

— Nasz hymn, śpiewać!

Szczupły robotnik zaciskając pięści przemawiał dalej:

— Towarzysze! Dawniej, za sanacji, kiedyśmy tę pieśń śpiewali, to na nas nasyłali policję i wojsko i wszystkich innych diabłów. Tu oto stoi major Wojska Polskiego. Jeśli to jest prawdą, co oni mówią, że ma być Polska Ludowa, że to jest nasze robotniczo-chłopskie wojsko, to on sam, pan major sam, on pierwszy...

Zachłysnął się swoimi słowami, dyszał ciężko, chciał coś jeszcze wykrztusić, ale major stanął właśnie obok niego i zaczął swoim gardłowym, ochrypłym głosem:

— *Wyklęty powstań ludu zicemi...!*

Jeszcze to „ziemi" śpiewał sam, ale już przy „powstańcie" dołączyły się inne głosy i wszystkie sprzeciwy i hałasy utonęły w ogromie śpiewu, potężnego, masowego, wszechobejmującego. Głosy huczały, łomotały o ściany teatru. Kiedy śpiewano „Bój to będzie ostatni", to słowo „bój" wystrzeliło jak uderzenie młota. Marysi znowu chciało się płakać, powstrzymywała się z trudem od szlochu, czuła, że gdyby dała upust łzom, popłynęły by strugą, zrobiło by się zupełnie lekko i dobrze. Ale nie, nie wolno, nikt tu nie płacze, wszyscy mają tylko jakieś nachmurzone, poważne czoła, a temu robotnikowi, który zaproponował śpiewanie Międzynarodówki, szrama nad czołem napełniła się czerwienią i wargi wciąż mu jeszcze drżą.

Józef Hen

*) Fragment powieści „Druga linia", która ukaże się wkrótce nakładem wyd. „Prasa Wojskowa".

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Nowa prapremiera polska

Niezmiennym terenem akcji nowej komedii Andrzeja Wydrzyńskiego, wystawionej przez teatr katowicki — jest salon. Typowy salon mieszczański z fortepianem, odpowiednio kosztownymi meblami i należycie modnymi obrazami na ścianach. Równie typowi są mieszkańcy tej oazy: tatuś — dorabiający się prywatnie na dyrektorskiej posadzie państwowej; mamusia — pretensjonalna gęś o mentalności gąski; synek — przezywający wszystkie na raz cierpienia młodego egzystencjonalisty; dziadek — naiwny liberał starej daty, obecnie puszczający bańki mydlane.

Rzecz rozpoczyna się od prezentacji tego światka. Dowiadujemy się o grubych interesach, które „na lewo" robi ultraprawicowy Władysław. Poznajemy gniewy i tęsknoty jego małżonki — Klementyny. Podziwiamy pasję „naukową" dziadka Hilarego, marzącego o wynalezieniu wodnego szkła, właśnie z owych pracowicie wydmuchiwanych baniek mydlanych. Zostajemy wreszcie wtajemniczeni w plany całego towarzystwa: jeszcze parę ryzykownych „zagrań" tatusia, a potem wspólna ucieczka do krainy snów, oczywiście do Ameryki.

Trwającą cały pierwszy akt sielankę familijną przerywa wejście na scenę nowej postaci To przodownik pracy Józef. W jednym zdaniu komunikuje, że dostał nakaz kwaterunkowy na dwa pokoje w rozległym mieszkaniu naszych znajomych. Konsternacja. Kurtyna.

Akt pierwszy bardzo zabawnie i bardzo zręcznie zawiązuje intrygę sztuki. Domyślamy się, że autor skonfrontuje z sobą dwa światy: mieszczański i robotniczy; jesteśmy zaciekawieni, czym się to skończy.

Foto Br. Stapiński

Państwowy Teatr Śląski w Katowicach. „Salon Pani Klementyny" Andrzeja Wydrzyńskiego. Na zdjęciu: Teresa — L. Czarska, Stefan — R. Zawistowski. Reżyserował R. Zawistowski, dekoracje J. Hryńkowskiego

W następnych odsłonach poznajemy rodzinę Józefa: jego żonę Marię i córkę, uczennicę konserwatorium, pianistkę Teresę. Konflikty i starcia rozgrywają się na tle wspólnego mieszkania, na terenie najbardziej prywatnym, ale sprzyjającym ujawnieniu nader intymnych urazów i różnic. Rozpoczynając od antagonizmów „garnkowych" między Klementyną i Marią; poprzez odmienny stosunek do pracy i zagadnień społecznych Józefa — a Władysława i Hilarego; aż do zasadniczej rozprawy między młodymi. Bowiem Stefan z biegiem aktów zakochał się w Teresie; ich decydująca rozmowa odsłania całą głęboką dekadencję moralną burżuazji, manifestuje zarazem odporność na nią pokolenia socjalistycznego. Stefan rzeczywiście kocha Teresę, jest naprawdę nieszczęśliwy. A jednak zostaje odepchnięty przez autora i bohaterkę sztuki — nie tylko jako były „falangista", frankistowski kombatant z Hiszpanii — przede wszystkim dlatego, że faszystowska przeszłość zatruła nieuleczalnie jego światopogląd, odebrała mu ojczyznę i ludzki stosunek do świata. Postać Stefana jest bezlitosnym studium psychiki spadkobiercy schyłkowej epoki imperializmu. W nowym świecie musi przegrać. Podobnie jak jego wynalazczy dziadek — który z ust racjonalizatora dowiaduje się, że wodne szkło zostało już dawno wynalezione i to w zupełnie inny sposób. Przegrywa również ojciec Stefana, grzecznie ale stanowczo aresztowany przez funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa.

Racjonalizator Józef dobitnie charakteryzuje współlokatorów, Władysława i Stefana — reprezentantów całej „ohydy, okrucieństwa i zgnilizny" burżuazji, Klementynę i Hilarego — nosicieli jej „naiwności, głupoty i bezproduktywności".

Wydrzyński rezygnuje w swojej sztuce z bezpośredniej dyskusji politycznej. Rzecz rozgrywa się raczej na płaszczyźnie obyczajowej, czasem nawet towarzyskiej. Jeśli mimo to wydźwięk komedii jest bezkompromisowy i jasny — to dzięki umiejętności pokazania, jak ścisły jest związek wszystkich spraw życia z podłożem ideologicznym.

*

„Salon pani Klementyny" jest drugim po „Komedii" utworem teatralnym Wydrzyńskiego Należy dostrzec w nim duży wysiłek w kierunku uproszczenia środków wyrazu, spory krok naprzód na drodze do realistycznego kształtu sztuki.

Autor z niezwykłą u tak młodego dramaturga dojrzałością i kulturą sceniczną potrafi konstruować komedię, oszczędnie operować niewielką ilością postaci, celnie i prosto szkicować całe partie dialogów.

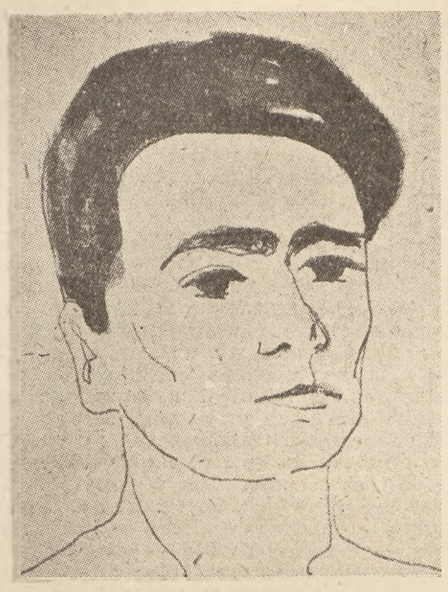

rys. J. Hryńkowski

Andrzej Wydrzyński

Interesująco napisana sztuka będzie stanowiła na pewno wartościową pozycję repertuarową. Jeśli to i owo budzi w niej zastrzeżenia, to z przyczyn — jak się wydaje — zbytniego ulegania pewnym schematom i pokusom formalnym. Wydrzyński zrezygnował świadomie z chwytów reportażowych, z wieloobrazowej kompozycji stosowanej zazwyczaj przez współczesnych dramatopisarzy-realistów. Miał ambicję rozegrania konfliktu przy zachowaniu jedności miejsca. Miejscem tym jest — jak się już powiedziało — salon. Pomysł zabawny, efektowny, teatralny. Nikt jeszcze nie pokazał tak naocznie, że walka klasowa toczy się dzisiaj również na terenie salonu mieszczańskiego. W konkretnym wypadku rzecz powoduje jednak pewne niejasności i niedomyślenia. Nie bardzo rozumiemy, jaki jest stosunek autora do samego salonu pani Klementyny. Widz został przekonany, że dotychczasowi jego mieszkańcy muszą odejść. Ale salon trwa. Został zdobyty przez nowych ludzi. Czy rodzina robotnicza ma zostać w jego wnętrzu? Czy ma traktować go jako dziedzictwo kulturalne przeszłości? Obawialibyśmy się trochę takiej schedy, atmosfery tych ścian i mebelków. Przez samą sugestię tytułu autor postawił tę sprawę i nie rozwiązał jej. Nie wiemy, co się stanie z salonem. Sprawa jest prosta: jeśli dla celów artystyczno-formalnych akcentuje się rolę pewnych rekwizytów, to trzeba potem do końca rozgryźć ich symbolikę.

Drugim punktem dyskusji jest specyficznie literacki charakter niektórych postaci. Wydrzyński kreśli każdą z nich, jak gdyby z osobna, daje się zasugerować swoim poszczególnym figurom, za mało troszczy się o ich wzajemne relacje. Obok szkicowo, ale bardzo realistycznie i przekonywująco postawionego Józefa — karykaturalna Klementyna, nie pozbawiona dużej szarży stylistycznej w dialogu. Na granicy satyry i tragikomicznej groteski balansuje Hilary. O Władysławie w ogóle mało wiemy. Autor miał przecież zdecydowanie określić — Józefa — to racjonalizator skrócił czas wytopów stali, jest aktywistą partyjnym. Dlaczego więc jego interlokutor Władysław jest dyrektorem anonimowej fabryki czy instytucji, dlaczego nie pokazano mechanizmu jego krociowych kombinacji? To nie są drobnostki — widz nie lubi przyjmować niczego na wiarę, chce wiedzieć, co i jak.

Autor niepotrzebnie zamazał nieco wrogą stronę barykady. Niezupełnie jasna jest — drugoplanowa zresztą — postać Rollkego. Nie wiemy, czy to jedynie hochsztapler i waluciarz, czy dywersant równocześnie. Jego zachowanie się w trakcie afery paszportowej świadczyłoby raczej o pierwszym, ale wyrzuty, jakie czyni Stefanowi („urywania się" z poważniejszej „roboty"), mówią o czym innym.

Wreszcie Stefan — postać bardzo interesująca, ale zbyt dowolnie... wymyślona. Nie słyszało się jakoś o Polakach uciekających w 1936 roku do szeregów Franco. W każdym razie tak awanturnicza przeszłość nie była potrzebna do żałosnej roli histerycznego amanta, wroga bez kłów, jaką w trakcie akcji odgrywa Stefan.

Najsłabszą figurą sztuki jest Teresa. Cała pozytywność tej postaci polega na pięknych słowach wypowiadanych przez nią. Na scenie widzimy ją wyłącznie brzdąkającą na fortepianie, obsługiwaną przez matkę i flirtującą z chłopcem. Autor nie dostrzega, jak bardzo jego bohaterka przypomina grzeczne panienki z sztuk mieszczańskich. Stosunek Teresy do Stefana został przedstawiony nijako. Argumenty używane przez nią (chociaż słuszne i ważkie) lepiej brzmiałyby w popularnym artykule dziennikarskim niż w ostatecznej rozmowie dwojga zajętych sobą młodych ludzi.

Po wyliczeniu tej długiej listy zastrzeżeń wydawać by się mogło, że komedia rozkleja się. Tak jednak nie jest —a to dzięki zmysłowi kompozycyjnemu autora, który we właściwie kontrastowanych sytuacjach, w odczutym scenicznie tempie dialogu, potrafił poprowadzić sztukę żywo i ciekawie.

Wiemy skądinąd, że Wydrzyński w trakcie roboty teatralnej ustawicznie pracował nad utworem. Wiele ulepszył i uprościł. W pewnym stopniu dopomogła mu niewątpliwie reżyseria Romana Zawistowskiego pewnie i realistycznie prowadząca przedstawienie.

Zasługą inscenizacji jest wielka przejrzystość ideologiczna. Widz wychodzący z teatru nie może mieć wątpliwości co do waloru ludzkiego dwu światów. Słuszność upadku salonu Klementyny pokazana została środkami teatralnymi bardzo sugestywnymi nie uciekającymi się przy tym do schematycznych i płytkich efektów.

Największym osiągnięciem przedstawienia jest rola Józefa — to bodaj najlepszy z dotychczasowych bohaterów pozytywnych na naszych scenach. Przodownik pracy zagrany przez Lecha Madalińskiego miał całą autentyczność prostego i uczciwego człowieka, miał wzruszające akcenty mądrego i prawdziwego humanizmu w scenach z Hilarym, powagę i świadomość gospodarza własnego państwa. Bardzo piękna kreacja.

Kazimierz Lewicki — niedawno pełen dyskretnego komizmu Felicjan z „Dulskiej" — potrafił w pełni uczłowieczyć rolę Hilarego. Dzięki aktorowi postać ta wysunęła się (obok Józefa) na czoło spektaklu. Żałosna melancholia głupoty, przejmująca w swoim smutku a zarazem śmieszna, nie wykrzywiająca linii politycznej sztuki. Hilary, dobry stary człowiek przegrywa, bo taki jest los jego klasy, determinanta światopoglądu, czy raczej w tym wypadku braku światopoglądu. Scena w drugim akcie: Madaliński-Lewicki, została słusznie nagrodzona oklaskami przy otwartej kurtynie za prawdziwy popis szlachetnej gry aktorskiej.

Pozostała część zespołu nie osiągnęła już tego poziomu. Janina Morska zagrała „przedwojenną Polkę" Klementynę wyraziście, ale z predylekcją do zbyt natarczywej karykatury, którą właściwie należało tonować w imię realistycznej całości. Florian Drobnik był raczej jowialnym safandułą, nie czuło się w nim wytrawnego defraudanta i niebezpiecznego szkodnika. Scena aresztowania pokazana za miękko i za lirycznie. Helena Rozwadowska w roli Marii, żony przodownika pracy, niepotrzebnie dostrajała się do wulgarnego tonu Klementyny. Miała w sobie za wiele z „kuchty" — a przecież w tekście jest to pełna zdrowego rozsądku i ludzkich uczuć starsza kobieta. Romanowi Zawistowskiemu (Stefan) udały się lepiej początkowe komediowe partie roli, dramatyczna spowiedź w akcie trzecim nie była całkowicie umotywowana psychologicznie, chociaż miała przykuwające uwagę momenty. Stanisław Winczewski zagrał Rollkego po lżejszej linii wyłącznie aferzysty, zupełnie zresztą przekonywująco. Liliana Czarska była bezpośrednią i wzbudzającą sympatię Teresą.

Bardzo trafne kostiumy. Dekoracje Jana Hrynkowskiego miały dobre akcenty (jak snobistyczne tzw. nowoczesne obrazy na ścianach), raziły jednak nieprzyjemną gamą kolorystyczną i sztucznymi rozwiązaniami przestrzeni scenicznej (kolumna na środku salonu, poupinane tu i ówdzie kotary).

Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach pod dyrekcją Władysława Woźnika, nagrodzony na Festiwalu Sztuk Radzieckich za „Makara Dubrawę" i „Mieszczan"; cieszący się ostatnio dużym powodzeniem „Balladyny" wśród publiczności śląskiej — może zapisać przedstawienie „Salonu pani Klementyny" w księdze swoich osiągnięć.

Albowiem — streszczając tok wywodów — trzeba powiedzieć, że komedia Wydrzyńskiego skutecznie i dowcipnie walczy z aktualnymi jeszcze niestety pozostałościami obyczajowości mieszczańskiej, trafnie analizuje niejeden objaw zgnilizny burżuazyjnej, dynamicznie pokazuje ścieranie się nowego ze starym, stanowi kolejne osiągnięcia w zakresie wprowadzenia na scenę bohatera pozytywnego — człowieka pracy. Dlatego sztukę młodego autora zaliczyć można do zasługujących na wystawienie pozycji nowego, upolitycznionego repertuaru.

Wytknęliśmy wady utworu (uproszczenia satyryczne, literacka stylizacja niektórych postaci) wypływające ze zręcznego, ale nie dość krytycznego posługiwania się chwytami dramatopisarskimi wczorajszego teatru. Jednak duży krok w kierunku realizmu, jaki Wydrzyński zrobił od „Komedii" do „Salonu", daje nadzieję, że w następnej sztuce znajdzie on nowe środki wyrazu artystycznego, pozwalające mu na ostrzejsze jeszcze pokazanie świata i toczonej w nim walki o socjalizm.

Stanisław Marczak-Oborski

JULIUSZ WIRSKI

WSTĘP DO POEMATU

Naszą młodość kołysały burze,
Dzień bez walki był jak dzień bez chleba,
A my śmiesznie kochaliśmy róże,
Chociaż pożar nasze lasy trzebił.

Wiedzieliśmy: — nie będzie tamy,
Ludzkie życie nie starczy za łachman...
Ale także wiedzieliśmy, że Grammos
To jest więcej niż dolar czy drachma.

Padał w boju towarzysz nad Ebro,
Sztandar w ręce żywych przechodził.
Własną, nową, czerwoną algebrą
Każdy z nas wspólnej racji dowodził!

I na próżno w niejednym mieście
Pysk ulicy salwami szczekał —
W ciasnych celach serca nam pieścił
Wolny głos radzieckiego Człowieka!

*

Kto życie więzień w wolność zmieni,
Kto mrok faszyzmu pięścią zwali?
Śpi w Mauzoleum Wielki Lenin,
Myśli i działa Wielki Stalin!

I ten co śpi, i ten co działa —
Dwie nieśmiertelne dźwignie dziejów,
Masom, od myśli ich nabrzmiałym,
Niosą zwycięskich burz nadzieję.

O, wieku spełnień, ofiar żyznych,
Epoko walki nieulęgłej! —
Na gmach najświętszej mej Ojczyzny
Ty purpurowe nosisz cegły!

I wasz i nasz jest wiek ten męski!
I dla nas Kreml swe gwiazdy pali!
I milionowy krok — zwycięski —
Skanduje mocno: — Stalin! Stalin!

TADEUSZ KUBIAK

MATKI ZŁEGO URODZAJU

10 stycznia 1950. Z prasy codziennej:
Podczas wczorajszych zajść w Modenie od strzałów policji zginęło sześciu robotników, dwóch znajduje się w stanie agonii, trzydziestu odniosło ciężkie rany.
13 stycznia 1950. Z prasy codziennej:
Żony i matki poległych bojowników o wyzwolenie społeczne Italii, płacząc wznosiły okrzyki: Morderca — de Gasperi!

I

Wczesnym świtaniem pasterskim
urodzą. Na ziemię półwyspu,
jałową jak księżyc, zstąpi
miłości owoc.

Dziś oczekują pełne smutku.
Żyjąc obok siebie — milczą
matki przyszłego nieszczęścia,
kobiety, matki modeńskie.

Kochają nieurodzonych.
Milczą. Lecz oczu nie kryją.
Odwagi — karabinierzy
już idą. Oni nie znają
miłości, która nam każe
jagnięta nosić w cieniu ramion.

II

(Na nutę pewnego poety)

Nie znam miast w prowincji Emilia.
Lecz musi być miasto złych nocy,
złej wody otwartej ku śmierci,
złych gwiazd spadających w oczy.

Zła woda być musi — bo gdzieżby
topiono serca psich szczeniąt,
bezdomnych i głodnych wśród winnic
dojrzewających nad ziemią.

Zły most musi być, by filar
cieniem wśród światła mógł zatrzeć
przed okiem suki szczenięta
niknące w kanale na zawsze.

III

Towarzyszu Togliatti — sześciu
chłopców z Modeny pamiętam.

Nie znam miast w prowincji Emilia.
Lecz musi być miasto słońca,
place marsowych pomników,
aleje wyschłych cyprysów,
ogrody lękliwych ptaków,
ruiny rzymskie złych szczurów
i napoleońskich lawet.

W tym mieście płacz matek powszedni
jest jak kwiat lub chleb. A nawet
częstszy niż chleb. Z zawiązanym
gardłem — urodzeni z głodu —
rzucani są jak szczenięta.

Życie w anglosaskich fabrykach
broni na słonecznym półwyspie
czym różni się od śmierci na dnie
brudnych, ulicznych kanałów?

Towarzyszu Togliatti — pamiętam
karabinierów Modeny.

IV

Płakały i płaczą matki
w dalekiej prowincji Emilia.
Nad ziemią półwyspu jałową
jak księżyc — złorzeczą słońcu
madonny złego urodzaju.

Pierwszego syna wzięła winnica
sycylijskiego bogacza.
Drugi na placu wśród gołębi
czyści buty pięknym stewardessom
z amerykańskich linii lotniczych.
Trzeciemu kazano przenosić
broń — mającą poskromić pokój.

Czwarty strajkując zawołał —
Precz z wojną! — i zamilkł na zawsze.
A piąty co został — rzekł — Matko,
jestem głodny. Chyba pójdę kraść.

Matki smutnego urodzaju
szły samotne odarte z liści,
szły samotne chusty łzami prać.

V

(Towarzyszom broni do marszu)

Przyjacielu mój — spójrz na zachód.
Towarzyszu — na południe patrz.
Nie jedna prowincja Emilia
jest tam wszędzie, gdzie śmierć i płacz.

Przeciw temu wszystkiemu — nie mogąc
gniewu w sercu pomieścić,
nawet syrena podnosi
miecz — w moim rodzinnym mieście.

NAZIM HIKMET

LISTY Z WIĘZIENIA

To radość dla mnie wysyłać myśli
Do ciebie, miła, po słowa nadziei,
To radość dla mnie kiedy serce słyszy
Jak głos twój śpiewa pieśń, od której nie ma
Piękniejszej. Mało jednak mam nadziei,
I ciężko słuchać tylko cudzych pieśni
Kiedy nie wolno mi śpiewać.

*

Jesienna noc,
Bezgwiezdna,
Szara.
A ja
Pełne mam serce twych słów,
Bezkresnych
Jak czas
Jak materia,
Jasnych jak gwiazdy
Świecące nad nami
Nad nami dwojgiem,
Silnych jak twoja ręka.

Twoje słowa odnalazły mnie w więzieniu
Prosto z twego serca trafiły
W moje,
Z twego umysłu
W mój,
Wchłaniam całym sobą
Twoje słowa.
Twoje słowa, matko
Twoje słowa, kobieto
Twoje słowa, towarzyszko.
Oto słowa — bohaterowie,
Oto słowa — ludzie.

*

Nasz syn jest chory
Jego ojciec jest w więzieniu,
Twoja ciężka głowa opiera się na znużonych rękach,
Nasz ból jest bólem całej Turcji,
Jesteśmy tam, gdzie nasz świat.
Ludzie z dni złych
W dni lepsze wprowadzają ludzi
Nasz syn wyzdrowieje,
Jego ojciec wyjdzie z więzienia,
Uśmiechniesz się z głębi złocistych oczu.
Nasze troski są troskami całej Turcji,
Jesteśmy tam, gdzie nasz świat.

*

Ten kraj, który przypomina
Głowę wielbłąda
Przybyłego galopem z Azji,
Aby w Morzu Śródziemnym się ochłodzić
Jest naszym krajem.
Dłonie we krwi, zęby zaciśnięte, bose stopy,
Ta ziemia, która przypomina dywan z jedwabiu,
Ziemia — piekło, ziemia — raj na ziemi
Jest naszą ziemią.
Niech zatrzasną się drzwi, które tylko IM służą
Niech zatrzasną się na zawsze,
Niech ludzie przestaną być
Niewolnikami ludzi .
Oto nasze wezwanie.
Niech człowiek rośnie jak drzewo, sam i swobodny,
Niechaj żyje wśród braci tak jak drzewo w lesie.
Oto nasze marzenie.

Przekład EWY FISZER

Wiersze z tomu poezji Nazima Hikmeta, który ukaże się wkrótce nakładem Spółdz. Wyd. „Czytelnik".

STANISŁAW WYGODZKI

PRZED

Po plenum komitetu miejskiego dyrektor powiedział:

— Skoczę jeszcze na chwilę do fabryki. Zobaczę, co tam słychać.

Odrzekłem:

— Przeciez już po jedenastej.

— A no, nic. Tak czy owak muszę tamtędy przechodzić. Macie ochotę?

Była majowa noc, minął nas ostatni tramwaj, na zakręcie, wysoko na drutach zapalał się i gasł czerwony napis na matowym szkle: Baczność, tramwaj. Przechodniów było niewielu, z pobliskich kopalń wracali do domu ludzie, którzy ukonczyli pracę o 22-ej.

Nagle wrócił do obrad zakończonych niedawno.

— Kadry. Pomyślcie tylko, co trzeba będzie w nich kształcić, rozbudzić, wszczepić, aby się nauczyli zawodu, pokochali zakład pracy, zrozumieli sens naszej pracy. Trzeba będzie ludzi nie tylko dźwigać ideologicznie, nie tylko uczyć doskonalenia zawodu, ale także poruszyć ich serce, żeby biło mocniej, żeby się wzruszało każdym osiągnięciem, każdą zdobyczą. Przystanął na chwilę:

— Trudna sprawa, nie?

— Trudna, towarzyszu. Każdy kierownik zakładu, fabryki, huty będzie musiał być zarazem wychowawcą, nauczycielem, ludziom potrzebna będzie nowa moralność. Jeżeli zechcemy wszystko przerzucić na zarządzenia natury administracyjnej, to niedobrze będzie. Ludzie muszą rozumieć, tak jak wyście powiedzieli — miłować swoją pracę, cenić to co zdobyli, aby te zdobycze rozszerzać.

Zadzwonił, ktoś raźnym krokiem podszedł do furtki i zapytawszy kto idzie, na dźwięk głosu Skalaka otworzył ją. Z mroku ulicy wstąpiliśmy w jaskrawo oświetloną portiernię. Minęliśmy korytarzyk, potem obszerny pokój, przez który wchodziło się do biura. Siedziało tam dwóch mężczyzn, których już spotkałem kilkakrotnie: jeden ze straży przemysłowej, w nowym opiętym mundurze i z karabinem u nogi, drugim był strażak w błyszczącym hełmie. Jednakże zanim minęliśmy drzwi, Skalak się odwrócił:

— Słuchajcie, Piotrze, pokażcie mi wykaz ludzi, którzy przyszli na nocną zmianę. Jak było? Nie było spóźnień?

Piotr podał mu listę, Skalak zaś stojąc jechał palcem wzdłuż zapisanej kolumny. Zatrzymywał palec na każdym wypisanym nazwisku i czytał półgłosem: dwudziesta druga, dwudziesta druga, dwudziesta druga...

Podniósł wzrok i zapytał Piotra:

— Wytłumaczcie mi Piotrze, jak to jest, że wszystkim ludziom wpisujecie godzinę dwudziestą drugą? Czy ludzie naprawdę przychodzą punktualnie o dziesiątej?

— Pewnie, towarzyszu dyrektorze.

— Czy to pewne?

*) Fragment powieści.

— No, tak. Inaczej bym przecież nie wpisał.

— A wy co wpisujecie? Godzinę rozpoczęcia dniówki czy godzinę przejścia przez portiernię? Przecież o dwudziestej drugiej ludzie już stoją przy piecach, a koło was przechodzą co najmniej 15 albo 20 minut wcześniej.

Piotr się zadumał.

— Rzeczywiście, dyrektorze. Niektórzy przychodzą nawet na pół godziny przed rozpoczęciem dniówki.

— No, widzicie. O to mi chodziło. Dyscyplina pracy to dokładność — powtórzył: dokładność we wszystkim, nawet w wpisywaniu godziny przyjścia. Tu chodzi o każdą minutę i my musimy wiedzieć, kto kiedy przychodzi. My będziemy wyciągali konsekwencje nie tylko w stosunku do tych co się spóźniają, ale i do tych co przychodzą w porę. Będziemy ich nagradzali. To też od dziś macie wpisywać dokładną minutę przyjścia. Bo czy — poszukał chwilę — czy Stachura rzeczywiście przyszedł o dwudziestej drugiej, jak wyście to zapisali? Nie. Nie przyszedł o dwudziestej drugiej. O tej godzinie już kładł cynk do pieca. No, więc? Od tego macie zegar przed sobą. Zapisywać dokładnie co do minuty.

Weszliśmy do biura, minęliśmy długi korytarz i Skalak zapalił lampy w swoim gabinecie.

— Siadajcie.

Zdjął słuchawkę i kazał się połączyć z halą pieców.

— Stachura? To wy? Jak tam palenie?

Stachura coś wyjaśniał, na twarzy Skalaka ukazał się lekki uśmiech.

— To dobrze, zważajcie na ciepłomierz, to będzie eksportowa biel.

Usiadł i wtedy powiedziałem:

— Ale czujni jesteście: a to listę sprawdzacie, a to o produkcję pytacie.

Spojrzał na mnie i znów się uśmiechnął.

— I to wy nazywacie czujnością? Czy aby to jest czujność? To, co przed chwilą uczyniłem, dotyczy spraw, które leżą na dłoni. Macie przed sobą martwy arkusz papieru i możecie go odczytać, w laboratorium macię termostat i możecie od razu wszystko skontrolować, wystarczy podejść do pieca i włączyć ciepłomierz, aby wiedzieć ,jaką macie temperaturę w piecu, ale to wszystko jeszcze nie czujność. Czujność odnosi się do ludzi, rozumiecie — mówił z naciskiem — do ludzi. Trzeba ich przejrzeć na wylot, wiedzieć co myślą, co czują, i to nie tylko w złym, ale i w dobrym. Trzeba ciągle zważać i wiedzieć, czy zło, spoczywające w człowieku cofa się czy się rozrasta, ale trzeba także wiedzieć, czy to co w człowieku jest dobre nie cofa się i czy idzie naprzód. To jest czujność w moim zrozumieniu.

Uchylił okno na niewielki ogródek okalający budynek biura i mówił:

— Widzieliście tych dwóch ludzi w portierni? Tego ze straży przemysłowej i ze straży pożarnej? Widzieliście. To wam opowiem coś na temat czujności. Maszynę można regulować, przestawiać, poprawiać, i to bardzo łatwo. Jeżeli macie w piecu za duży hyc, to otwieracie szyber, regulujecie dopływ powietrza i po krzyku, ale z człowiekiem? Nie tak łatwo. Martwy przedmiot ma swoją naturę, ale ustaloną, a jak nie odpowiada normom, to w określonym procesie technologicznym uzyskacie ustaloną normę. Weźcie na przykład cynk elektrolityczny, tam nie ma żadnych niespodzianek, chyba że człowiek wam przeszkodzi, ale jak tego człowieka zmienić? Ho, ho, to nie takie proste!

Na przykład ten strażak, weźcie chociażby tego strażaka, Barana. To bestia— uniósł palec i pogroził nieobecnemu wrogowi. — Tu dopiero potrzebna czujność, ale gdzie się ona zaczyna, a gdzie kończy? Tego nie dojdziesz. Nigdy nie możesz sobie powiedzieć — będę czujny w czasie godzin pracy, a potem przestanę myślec o szkodniku, nigdy sobie tak nie powiecie, bo jest taki czas, kiedy nie ja jego, ale on mnie pilnuje. Odwrócisz głowę, a on już wyłazi, zamkniesz na chwilę oczy. a on juz na powierzchni. Czujnym trzeba być stale, we dnie i w nocy, nieustannie. Musisz tak wyćwiczyć wzrok i słuch, aby pochwycić najlżejszy cień i usłyszeć najcichszy dźwięk. Ale jak to robić? Jak to robić wówczas, gdy wróg się jeszcze nie ujawnił, wtedy kiedy wiesz, że on istnieje, ale jeszcz nie dał o sobie znaku? Niektórzy mówią tak: trzeba odnaleźć jego bazę działania, i w tym jest dużo prawdy, ale jak tego dokonać w praktyce codziennej, życiowej? Niełatwa sprawa. Ja powiem, że wróg jest wszędzie, a jego pole działania jest tam gdzie istnieją elementy reakcyjne, ciemne, zacofane, bo przecież on musi działać, a działać potrafi tylko tam gdzie ciemnota. Często jest tak, że przeciwnik wpływa na otoczenie, ale często i tak bywa, że te ciemne elementy przyciągają do siebie. Takie jest ich prawo: sprzymierzeńcy lgną do siebie, odnajdują się w tłumie, ale ten proces jest prosty. Groźne i złożone są te sprawy, gdy wróg się kryje, kiedy się maskuje, kiedy chce być tu i tam, u nas i u nich. U nas po to, żeby znać nasze zamierzenia i plany, a u nich po to, by nie działać w samotności, bo samemu nic nie potrafi. W momencie gdy go odizolujesz, zdycha, kończy się. My jesteśmy silniejsi i żeby nas ugryźć, przeciwnik musi mieć ostre zęby, tymczasem my mu za każdym razem wytrącamy broń, i po łapach — podniósł rozwartą dłoń i machnął nią gwałtownie — po łapach, żeby wiedział, żeby popamiętał. Inaczej nie idzie. Ale nawet wtedy gdy go chwycisz, to nie wolno popuścić. Wróg raz ujawniony szuka innych możliwości, innych form działania, chwyta się nowych metod, jeszcześ nie przemyślał jednego, a on już robi swoją krecią robotę od nowa, w nowy sposób. I wtedy on ci narzuca metodę walki, metodę sobie dogodną a tobie niedostępną jeszcze i robi tak długo, dopóki go znów nie przejrzysz. Na czym polega zadanie? Aby go przejrzeć najszybciej, bo ani się spostrzeżesz, a narobi szkody.

— Różne mogą być szkody. Może ci szkodzić w produkcji, zepsuje maszynę, spali motor, wsypie garść gwoździ do worka z tlenkiem cynku, wystarczy tylko jeden nieznaczny ruch, a gwoździe rzucone do beczki grzęzną w pyle i ujawnią się dopiero między walcami w fabryce wyrobów gumowych, ale wtedy już po walcach, fabryka stoi, bo to awaria na dłuższy czas. Albo źle wymiesza biel w skrzyniach pod aparatami i zamiast przepisanej ilości ołowiu czy kadmu masz go tyle, że lakiery nie wyjdą, albo CIECH ci wsiądzie na łeb, boś pokpił eksport. Ale najgorzej jest wtedy, gdy wróg chodzi między ludźmi i sieje swój jad. Można sobie powiedzieć tak: będę przy każdym mieszaniu, by przypilnować każdą partię, ale jak upilnujesz jego wrogą propagandę? Tobie będzie świecił w oczy na zebraniach, jeśli jest jeszcze w partii, będzie występował najbardziej bojowo, ale za oczyma tak pokieruje robotą, że masz tylko szkody i straty. W produkcji i w ludziach. Dusze im zatruje.

— Przed wojną, za czasów kapitalistycznych byli na fabryce szpicle. Kryli się, chodzili między ludźmi, zdobywali ich zaufanie a potem ich sypali, ludzie szli na bruk albo do więzienia na kilka lat, ale szpiclowanie to nie nasza metoda. My się bronimy inaczej, nam potrzebna robota oświatowa, praca uświadamiająca, my musimy wyrywać ludzi z kręgu ciemnoty, odgradzać ich od pijaństwa, bo każdy pijak to sprzymierzeniec wroga. Powiedziałbym, że każdy ciemny, nieuświadomiony człowiek to sprzy-

MELANIA KIERCZYŃSKA

O realizmie socjalistycznym

Jeżeli się chce zrozumieć jakąś metodę twórczą, należy sięgnąć do jej podstawy gnoseologicznej (teoriopoznawczej). Czy pisarz zdaje sobie z tego sprawę czy nie, zawsze u podstawy twórczości artystycznej leży tendencja filozoficzna, pisarz zajmuje — w twórczości swojej, niekoniecznie w samoświadomości jakąś określoną postawę teoriopoznawczą. „Estetyka i gnoseologia są z sobą ściśle powiązane" — stwierdza prof. Mejłach („Dyskusja filozoficzna a zagadnienia estetyki").

Dwie zasadnicze, przeciwstawne sobie, postawy teoriopoznawcze walczyły z sobą w ciągu wieków: materialistyczna, będąca niejako magistralną linią ludzkiego poznania — i stanowiąca jego aberację (zresztą społecznie uwarunkowaną) postawa idealistyczna.

Te dwie zasadnicze linie filozoficzne odnajdywać trzeba często, jak mówił Lenin, „poza osłoną terminów, definicji, scholastycznych wykrętasów, słownych wybiegów..."

U podstaw analizy tego zjawiska rozdwojenia myśli filozoficznej musi lec znane powiedzenie Lenina o „rozdwojonej świadomości" człowieka, o tym, że „ujęcie poszczególnego przedmiotu przez rozum ludzki, zdjęcie z niego odbitki (= pojęcia), nie jest aktem prostym, bezpośrednim, martwo-lustrzanym odbiciem, lecz jest aktem złożonym, rozdwojonym, zygzakowatym, zawierającym możliwość odbiegania fantazji od życia, co więcej: możliwość przeistoczenia, przy tym niezauważalnego, niepoznawalnego przez człowieka, przeistoczenia abstrakcyjnego pojęcia, idei, w fantazję (w ostatniej instancji: w boga). Albowiem w naprostszym uogólnieniu, w najbardziej elementarnej idei ogólnej („stół w ogóle) jest pewna odrobina fantazji" (Lenin „Zeszyty filozoficzne").

Taka jest teoriopoznawcza podstawa idealizmu, z której jeszcze w okresie przedhistorycznym powstaje magia, powstają wierzenia religijne, rozwijane i wyzyskiwane później w społeczeństwie klasowym dla celów klasowej walki.

„Naukowa historia filozofii... jest historią narodzin powstania i rozwoju materialistycznego poglądu na świat i jego praw. Ponieważ materializm wyrósł i rozwinął się w walce z kierunkami idealistycznymi, historia filozofii jest również historią walki materializmu i idealizmu" (Żdanow).

Uproszczeniem byłoby utożsamiać metodę twórczą z tendencją filozoficzną, należy jednak stwierdzić, że realizm ma swe korzenie w materializmie, materializm jest filozoficznym ekwiwalentem, odpowiednikiem twórczej metody realizmu. Nie w tym sensie, jakoby pisarz realista z reguły wyznawał i głosił materializm filozoficzny. Bardzo często dzieje się wprost przeciwnie: Tołstoj np. (i nie on jeden tylko) spośród wielkich realistów wyznawał poglądy wybitnie idealistyczne.

Ale sam proces twórczy u wielkiego realisty przebiega tak jak gdyby wychodził on z materialistycznych założeń prymatu bytu, prymatu rzeczywistości. Dla idealisty sprawą pierwotną jest jakaś koncepcja, jakaś idea, nią usiłuje on objaśnić, do niej nagiąć rzeczywistość daną najczęściej schematycznie, szkicowo. Realista dąży do prawdziwego odtworzenia rzeczywistości, daje obrazy konkretne, nasycone mnogością dobrze uchwyconych szczegółów, daje, jak to określił Engels, „typowe postaci działające w typowych warunkach". Typizacja artystyczna u pisarza realisty (wyodrębnienie cech istotnych spośród mnogości szczegółów) odpowiada materialistycznej zasadzie oddzielania tego co istotne od tego co przypadkowe.

Dobrolubow dostrzegał ten ścisły związek między realistyczną metodą twórczą a filozofią materialistyczną, kiedy pisał:

„Zarówno wielkość umysłu filozofującego, jak wielkość poetyckiego geniuszu polega na tym, żeby patrząc na przedmiot, umieć natychmiast odróżnić jego cechy istotne od przypadkowych, a następnie organizować je prawidłowo w swej świadomości i umieć posługiwać się nimi..."

Dobrolubow przewidywał taki etap w rozwoju sztuki, który charakteryzować będzie „swobodne przetwarzanie w żywe obrazy najwyższych myśli, a jednocześnie całkowita świadomość najwyższego, najogólniejszego sensu w każdym — to ideał, który przedstawia sobą najzupełniejsze zlanie się nauki i poezji, dotychczas nieosiągnięty".

Wybiegając nieco naprzód, stwierdzić należy, że na drogę prowadzącą do niesłychanego spotęgowania poznawczej mocy sztuki wkracza sztuka wtedy, kiedy metodą jej staje się metoda realizmu socjalistycznego, mająca swoje korzenie filozoficzne w naukowym materializmie.

Tej mocy poznawczej realizm tzw. krytyczny osiągnąć nie mógł, ograniczoność jego związana była z ograniczonością postępu burżuazyjnego, z którego wyrastał. Związana była z tym, że czestokroć pisarz odzwierciadlał prawdę życiową w swoich utworach *wbrew* zasadom swojego poglądu na świat, „wbrew" swym poglądom społeczno-politycznym, zmuszany do tego samą istotą swojego realistycznego talentu, poczuciem i głęboką znajomością rzeczywistości, a nieraz uczuciowym związaniem sie z postępowymi ideami epoki, z dążeniami ludu (jak np. Tołstoj, związany uczuciowo z podstawowa masą chłopstwa nienawidzącego kapitalizmu).

Natomiast, nawet jeżeli pisarz był świadomym materialista, materializm przednaukowy, przedmarksowski, ograniczony, nie rozciągający swoich założeń na sprawy rozwoju społeczeństwa, nie mógł mu być nawet w przybliżeniu tak pomocny, jak pomocny jest materializm naukowy pisarzowi realizmu socjalistycznego. Co więcej: realiście tej miary co Balzak rzeczywistość bardziej odsłaniała prawa rządzące współczesnym mu społeczeństwem kapitalistycznym (genialne odsłonięcie roli pieniądza w dziełach Balzaka) aniżeli mogła mu o tych sprawach powiedzieć współczesna mu burżuazyjna nauka. Za to właśnie tak cenił Balzaka Engels, że jego artystyczne ujęcie świata — w pewnej, ograniczonej sferze zjawisk — wyprzedzało słuszne ujęcie teoretyczne.

W przeciwieństwie do realizmu krytycznego, realizm socjalistyczny cechuje m. in. *całkowita jedność metody twórczej i poglądu na świat.*

Nie wolno widzieć w realizmie socjalistycznym dziedzica realizmu krytycznego. Stanowi on w stosunku do realizmu krytycznego tak samo rewolucyjny skok, jak skokiem rewolucyjnym jest materializm naukowy, marksizm-leninizm, w stosunku do feuerbachowskiego, przedmarksowskiego materializmu. Jest jego przezwyciężeniem, jego negacją (w marksistowskim znaczeniu tego słowa zakładającym wchłonięcie pierwiastków istotnych i słusznych przy jednoczesnym wzniesieniu się na inny nowy poziom warunkujący całkowicie nową jakość zjawiska).

Materializm przedmarksowski usiłował tylko odjaśnić świat, materializm naukowy stawia sobie za zadanie torować drogi przeobrażeniu świata, w oparciu o poznane po raz pierwszy prawa rozwoju społecznego. Stąd postulat naczelny *jedności teorii i praktyki*, będącej sprawdzianem prawdziwości, słuszności uogólnień, a w dziedzinie sztuki, w dziedzinie literatury postulat *aktywności* postawy twórczej pisarza epoki realizmu socjalistycznego, jego włączenia się pisarstwem swoim w walkę awangardowej klasy społecznej, w sprawę budowania socjalizmu. Z naczelnej przesłanki, że wszelka teoria, wszelka ideologia w społeczeństwie klasowym uwarunkowana jest pozycją zajętą w walce klas, że całkowicie słuszna i prawdziwa, jedynie więc naukowa jest pozycja teoretyczna ideologicznych przedstawicieli awangardowej klasy, proletariatu — wynika, że jedynie aktywne, intelektualne i emocjonalne zespolenie się twórcy ze sprawą przodującej klasy zapewnia słuszne widzenie i rozumienie świata. Stąd walka z postawą *obiektywistyczną*, stąd apel o *partyjną* postawę twórcy-realisty socjalistycznego, o partyjną postawę pisarza bezpartyjnego na równi z pisarzem członkiem partii. Po obaleniu panowania klas wyzyskujących, po zniesieniu ustroju wyzysku, wytwarza się stopniowo moralno-polityczna jedność narodu. Socjalizm buduje cały naród pod przewodnictwem klasy robotniczej, a partia jest mózgiem tej klasy, ona wytycza drogi realizacji celów, które stały się ogólnonarodowymi celami. Stąd partyjną postawę zajmuje każdy pisarz, którego twórczość tym celom służy, który ma w sobie zrozumienie rzeczy, żarliwość, czujność i oddanie sprawie, właściwe postawie partyjnej.

Nie ma słusznego rozumienia rzeczywistości bez głębokiej znajomości otaczającego nas życia, znajomości nieosiągalnej inaczej, jak poprzez aktywny w nim udział. Dopiero na bazie takiego uczestnictwa pisarza w najważniejszej sprawie epoki, w sprawie budownictwa socjalizmu, walki o pokój, o wyzwolenie ludzkości, materializm naukowy staje się dlań niezawodną busolą w rozumieniu świata. Zanika typ pisarza, który byłby realistą „wbrew" swojemu poglądowi na świat, którego słuszne, realistyczne widzenie rzeczywistości zachwaszczone byłoby i zniekształcone przez wpływ błędnych, idealistycznych koncepcji. Materializm naukowy, coraz głębiej przyswajany, potęguje zdolność widzenia twórcy, ukazując mu słuszne i dalekie perspektywy rozwojowe, pozwalając tym samym w zarodku jakiegoś zjawiska dostrzegać jego przyszłą rozwiniętą postać.

Ten *zmysł nowego*, umiejętność dostrzegania i właściwej oceny kiełkujących dopiero zarodkowych form rodzącej się nowej rzeczywistości jest niezmiernie ważną cechą pisarza-socjali-

Ilustrował Kajetan Sosnowski

ŚWITEM*)

mierzeniec wroga. U uczciwego robociarza nic nie wskóra, ot tyle — złożył palce — ot, tyle, figę.

— Ten strażak Baran. Zjawił się u nas z początkiem 1947 roku, długo popamiętam tę datę, ona mi dała dobrą szkołę, ale — machnął ręką — niech tam, nie żałuję, widać i ta nauczka była mi potrzebna. Baran prosił o pracę, ale nic nie umiał. Powiedział, że jest ze wsi — silny jestem, mocny, każdą robotę wykonam. Brakło nam wtedy ludzi, ciągle nam zresztą brak ludzi, i przyjęliśmy go. Widzieliście go? — Przytaknąłem. — To rosły chłop, dziś ma jakie 36 lat. Stanął do roboty i dobrze robił. Woził z hali nr 1 załadowane beczki, lub worki małym wózkiem do magazynu, wtedy nie mieliśmy jeszcze ani boczniey kolejowej ani tej kolejki wewnętrznej. Ładowacze pomagali mu ładować i zdejmować, ale wózek pchał sam, wszystkiego jakie 200 kg. Nie był to nadzwyczajny wysiłek, wszyscy tak robili i tak przerobił u nas trzy miesiące. Przez ten czas zyskał zaufanie ludzi. Okazało się, że jest dowcipny, znał moc anegdotek i historii, opowiadał barwnie. W czasie przerw na śniadanie i obiad stale otaczali go ludzie. Przysłuchiwałem mu się kilkakrotnie. Miał jakąś taką mądrość z samego życia, ale to nie było doświadczenie wsiowe, za tą jego wiedzą życia kryło się jeszcze coś innego. Życie musiało go mocno uderzyć.

— Oczywiście wstąpił do partii. Wtedy to nie było tak jak dziś, pamiętacie rok 1947? No, to jedźmy dalej. Na zebraniach zabierał niekiedy głos, mówił na ogół rozumnie, chociaż nie klasowo, ale na swój sposób mądrze. Zawsze, do każdego teoretycznego wywodu umiał dopasować jakąś opowieść zaczerpniętą z życia, a nic tak nie przybliża ludzi, jak teoria przetłumaczona umiejętnie na praktykę życiową. O, to to on potrafił. Miał bogate doświadczenia.

— Po jakimś czasie Baran się odmienił. Czuł się mocny, ludzie stali za nim, powiedziałbym, że był ulubieńcem załogi, i wtedy zaczął źle pracować. Któregoś dnia zamiast trzech worków kazał sobie załadować na wózek tylko jeden worek. Majster, spostrzegłszy Barana pchającego z hali na magazyn wózek załadowany jednym workiem, zapytał:

— Co to? Nie ma więcej worków na hali, że wozicie tylko jeden? Baran przystanął, podparł się pod boki i patrząc bezczelnie w oczy majstra odparł arogancko:

— Są worki, a jakże są, jest ich nawet za dużo i dlatego będę od dziś woził po jednym worku.

— Po jednym? A czemuż to?

Baran się rozsierdził.

— Wy, majster nie bądźcie taki mądry. Ja jestem w partii, a wy nie, nie podnoście na mnie głosu.

Majster Kuraś nie dał się zbić z tropu:

— Czy ja w partii, czy nie, to was nie obchodzi, a tu jest norma taka, że macie ładować po trzy worki, a nie po jednym. Weźcie, Baran na rozum — Kuraś ciągle mówił spokojnie — czy nie lepiej za jednym razem przewozić trzy worki, aniżeli trzy razy chodzić z wózkiem obładowanym jednym workiem? Przecież to nie waży wiele więcej ponad 50 kilo.

Baran skoczył ku Karasiowi wymachując mu rękami przed oczyma:

— To wy róbcie też normę jak ja. Jak dyrektor patrzy, to woźcie trzy worki, a jak nie patrzy, to woźcie po jednym, zrozumieliście? Ja się tu suchot nabawiłem, ręce poobrywałem, a wy mi jeszcze ciężko robić każecie?

— Wezwaliśmy od razu Barana do lokalu partyjnego. Ja reprezentowałem dyrekcję, Piszczyk radę zakładową, towarzyszka Jadwiga egzekutywę. Rozmowa była długa i zapalczywa. Zaczęło się od skarg na ciężką robotę, a skończyło się na skardze na rachmistrza.

— Rachmistrz mnie okrada, wpisuje mi źle godziny, źle oblicza zarobek i za tę ciężką robotę nawet zarobku nie ma, bo mnie okradacie.

— Kto okrada?

— Rachmistrz! Wszyscy mnie okradają!

— Kto wszyscy?

— Ci co rządzą fabryką! Ja was powsadzam!

Poniosła mnie wściekłość i wpiłem mocno palce w stół, żeby go nie trzasnąć przez łeb. Kazałem natychmiast sprowadzić rachmistrza.

— Pokażcie obliczenia Barana.

Rozkładał przed nami listy i wykazy, zeszyty prowadzone przez majstra i obliczenia biura.

— Uspokójcie się, Baran. Tu macie wszystkie dowody, przejrzyjcie je sobie i powiedzcie: okrada was kto, czy nie okrada.

Wertował powoli w książkach i wykazach, porównywał zeszyty majstra z odbitymi godzinami i zarobkiem na paskach, gmerając przy tym palcami w gęstej czuprynie. A myśmy siedzieli milczący i obserwowaliśmy tylko jego twarz. Zgadza się, czy się nie zgadza? Może ten człowiek ma rację? Jeżeli jej nie ma, to skąd wziął ten pomysł oskarżenia rachmistrza? Nigdy nie było podobnych skarg — czemu więc on, który zaledwie skończył jedną awanturę z majstrem Kurasiem, już wszczyna następną z rachmistrzem?

— Zgodza się, nie okradacie mnie. Dobra jest.

I wtedy popełniłem zasadniczy błąd. Bardzo wielki błąd. Nie postawiłem sprawy Barana ani przed partyjną organizacją ani przed załogą, po prostu byłem zadowolony z szybkiego i dobrego załatwienia drażliwej sprawy i to niby miało wystarczyć, po prostu zaklajstrowałem sprawę. Wydawało mi się, że wyjaśnienie Barana złożone wobec dyrektora, przedstawiciela egzekutywy i rady zakładowej wyczerpuje sprawę, ale tak nie wolno było postąpić. Gdybym ja był wiedział...

Rozłożył szeroko dłonie.

— Nie wiedziałem, że takie załatwienie, tak niby w cztery oczy, prowadzić będzie tylko do dalszej rozróbki. Rozumiecie, on publicznie, wobec wielu ludzi mówił, że skoczy na majstra i że oskarża rachmistrza o kradzież, a ja, zamiast przyjąć jego metodę walki, metodę publicznego wykończenia szkodnika zadowoliłem się załatwieniem po cichu, potajemnie niejako. Z wrogiem trzeba walczyć jego metodą. Jeżeli on publicznie oskarżył, niech publicznie odwoła, ale tego nie przypilnowałem. Skąd mogłem wiedzieć, jaki obrót sprawa weźmie?

Wtrąciłem nieśmiało:

— Powinniście o wszystkim wiedzieć. Będziecie złym dyrektorem, jeśli się odgrodzicie od ludzi. Na tym polegało to wasze odgrodzenie się, na tym, żeście sprawy Barana nie postawili przed organizacją partyjną i przed załogą. Popełniliście zasadniczy błąd i wszystko, co później wynikło, było na pewno konsekwencją pierwszego przeoczenia. Wy ciągle podkreślacie, że trzeba było jawnie o tej sprawie mówić, ponieważ Baran jawnie mówił, a jabym powiedział inaczej: nawet gdyby Baran nie mówił publicznie co zamierza zrobić, należało jego sprawę postawić przed partią. Zdusiliście krytykę.

— Ja już wiem o tym od dawna, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem. A wiecie, co zrobiłem później? Zapytałem go, czy mu naprawdę ciężko z tym woźeniem beczek.

Czekał na moją reakcję, ponieważ jednak milczałem mówił dalej:

— Chciałem wiedzieć, jak mu idzie robota. Pomyślałem, może mu naprawdę ciężko?

— Tak. Bardzo ciężko! Nie mogę wozić trzech beczek, ze dwa worki upchnę, ale o beczkach mowy nie ma, są znacznie cięższe. Nabawiłem się suchot i ręce poobrywałem.

— No, dajcie spokój Baran, bo głupstwa klepiecie. Tu ludzie robią po 30 lat i w dalszym ciągu robią, a suchot żaden się tu nie nabawił, ani rąk nie poobrywał.

— Przecież ja znam tę robotę. Przesadzacie.

Milczał, jakby skruszony, ale pomyślałem — może mu naprawdę ciężko.

— Słuchajcie, Baran, pójdzcie do lekarza i przynieście świadectwo. Jeśli się okaże, żeście chory, to znajdziemy dla was lżejszą robotę.

I poszedł do tego lekarza. Poszedł, bo wiedział, po co idzie, ale myśmy jeszcze wtedy nie wiedzieli. On dobrze wiedział— Skalak wymówił szeroko to „dobrze" — po co idzie, on wiedział, gdzie stracił serce i płuca i gdzie ręce poobrywał, ale myśmy jeszcze nie wiedzieli. Przedłożył mi to zaświadczenie. Orzekało ono, że Baran ma nadwyrężony mięsień sercowy i widoczne ślady zmian w płucach, jakieś zaskiepione blizny dawnego pochodzenia, niegroźne już w jego wieku. Jednocześnie lekarz zalecił lżejszą pracę. Tlenek cynku — tak pisał lekarz — w żadnym wypadku nie może pacjentowi przynieść szkody.

— A, no, dobrze, Baran, dostaniecie lżejszą robotę. Pomyślimy nad tym.

— Ciągle występowałem jako jego dobroczyńca i widziałem tylko jednostkę przed sobą, tymczasem z wrogiem jest tak: nigdy nie wolno go traktować w oderwaniu od jego bazy, a najgorzej już jest wtedy, gdy patrzysz na niego jak na zabłąkaną jednostkę, która sobie robi dowoli co chce i kiedy chce. A tak nie jest. Nawet jeśli nie widzicie jego powiązań, to trzeba pamiętać o tym, że ideologicznie taka jednostka reprezentuje cały — podkreślił — rozumiecie, c a ł y obóz wstecznictwa i reakcji. On nigdy nie jest sam, za nim stoi rozbita klasa. Tymczasem ja, zamiast przeciwstawić Baranowi klasę robotniczą, postawiłem mu naprzeciw siebie samego, tak jakby rozgrywka się toczyła między Baranem a Skalakiem, a nie między obozem rewolucji i obozem kontrrewolucji. Powiedziałem sobie, że go wychowam, rozumiecie ciągle: ja, ja, ja, a nigdy nie pomyślałem, że wychowawcą może być tylko klasa robotnicza, jej partia, i znów wziąłem na siebie obowiązek, którego — rzecz jasna — nie mogłem wykonać, bo i skąd?

— Gdy towarzysz Bierut mówił na trzecim plenum o klajstrowaniu, to wiedziałem, że mówi o mnie, mimo że nie wymienił mnie z nazwiska, bo na moim terenie, w wypadku Barana klajstrowałem. Nigdy nie stawiałem zagadnienia Barana jako zagadnienie polityczne, nie mówiło się o tym jawnie, po partyjnemu, nie biłem się o krytykę, a przecież tylko w ogniu krytyki, w obliczu jawnej dyskusji można było ten wrzód przeciąć w porę.

Oparł łysą czaszkę o dłoń i mówił:

— W tym czasie formowaliśmy zakładową straż pożarną i przesunąłem Barana do straży. Zabrałem go od wózka i mianowałem go komendantem straży, miał przejść przeszkolenie, a poza tym, ciągle pamiętałem o tym zaświadczeniu lekarskim. Wiedziałem, że skoro straż będzie mocno zważała, aby nie było wypadku, stanowisko komendanta zapewni mu spokojną, nie wyczerpującą pracę. Ale cóż — Skalak westchnął. — Baran miał spokój, miał swobodę ruchów, ba! na stanowisku komendanta miał możliwość swobodnego poruszania się po zakładzie, miał nawet obowiązek poruszania się i z tego skorzystał skwapliwie. Ciągle był w ruchu, nie tylko nie można go było ganić za to, ale zasługiwał nawet na pochwałę za tę ruchliwość, ale to mu właśnie umożliwiło gadanie, zbliżenie sie do ludzi. Łaził wszędzie. Przystawał to tu, to tam, był na hali fabrycznej, bywał w magazynach, przy budowie bocznicy, wszędzie go było pełno. Stawał przy poszczególnych brygadach, sypał dowcipami, opowiadał anegdoty. Obserwowałem go na zebraniach partyjnych. Zabierał często głos, ale na zakładzie...

Nie dokończył zdania, lecz po chwili podjął swoje opowiadanie.

— Na zakładzie robił swoją robotę. Występował przeciwko mnie jako dyrektorowi. A to mu się to nie podobało, a to tamto wydawało mu się niesłuszne. Nigdy nie formułował zarzutów, mówił jakimiś napomknieniami, półsłówkami. Występował również przeciwko radzie zakładowej, że nie pilnuje interesów robotniczych. Niewiele mu się u nas podobało. Może chciał zostać dyrektorem? pomyślałem w pewnej chwili. Cholera go tam wie.

— Któregoś dnia zjawił się w biurze jakiś robotnik, obcy, nieznany. Prosił o przyjęcie do pracy. To było — Skalak zastanawiał się przez chwilę — to było wtedy, kiedy kończyliśmy budowę bocznicy i każda para rąk była nam nieodzowna. Zresztą i bez tej budowy przyjęlibyśmy go, ciągle brakło nam ludzi, a i dziś jeszcze mamy z tym kłopoty. Wezwałem personalnego, by się zajął jego sprawą. Wówczas, nie jak dziś, sprawy przyjęcia załatwiał tylko personalny, on odpowiadał za wszystko i nawet nie wiem jak się potoczyła rozmowa między przybyłym a naszym urzędnikiem. Nazajutrz Rychwał, tak się nazywał nowoprzyjęty, stanął do pracy. Woził, podobnie jak kiedyś Baran, wózki, ponieważ nic nie umiał. Również Rychwał pochodził z jakiegoś okręgu wiejskiego. Przyjrzałem mu się kiedyś w czasie pracy. Robił dobrze.

Zagadnąłem go skąd pochodzi.

— Z okolic Rzeszowa.

Zdziwiłem się. Nie ukrywałem mego zdziwienia.

— Z okolic Rzeszowa? To pewnie znacie naszego komendanta straży pożarnej, Barana. On przecież także pochodzi z tamtych stron.

Baran to mój szwagier. Moja siostra jest jego żoną.

O więcej nie pytałem, lecz pomyślałem: ale mi wbił klina! Ledwo sobie poradziłem z jednym, a już drugi mi się wali na kark. Klątem w duchu: nic o nim nie wiem, może i ten będzie broił? A zresztą, czy naprawdę nic o nim nie wiem? Czy nie wystarczy dla mnie to, że jest bliskim, rodzinnym człowiekiem? Z drugiej strony szukałem uspokojenia: cóż w tym dziwnego, że Rychwał w ślad za swoim szwagrem przybył? Czy to nie ciągna do siebie, by sobie wzajemnie pomagać? Tylko o tym pamietałem, o tym, że ludzie chcą sobie wzajemnie pomóc, że ludzie chca sobie wzajemnie pomóc, ale nie pomyślałem nad tym, w jakim zakresie chcą sobie pomóc, na jakiej płaszczyźnie mogą sobie pomóc. Nie pamiętałem o tym, że nie rodzina jest najważniejsza, że nie te węzły stanowią najistotniejszą więź między ludźmi, bo czyż mało było zatargów i sporów między rodzinami i ludzmi spokrewnionymi z sobą? Dopiero po tej nauczce, jaką odebrałem, wiem jedno: najważniejsza więź to więź ze swoją klasą i tylko tym należy mierzyć zakres pomocy, płaszczyznę współdziałania. Albo, jeśli chcecie towarzyszu, możemy pójść jeszcze dalej: najważniejszą miarą jest stopień umiłowania swojej klasy albo nienawiść do naszego dzieła, i to powinienem był sobie uprzytomnić. Tylko tym się mierzy ludzi. Nieważne było to, czy Baran i Rychwał są spokrewnieni czy spowinowaceni: ważne było, pracują dla nas czy przeciwko nam.

— Sytuacja wyjaśniła się nadspodziewanie szybko. Wrogość między obu szwagrami była widoczna nawet dla powierzchownego obserwatora, a cóż dopiero dla ludzi, którzy z nimi pracowali? Baran wyraźnie kopał pod Rychwałem, groził mu, że go wyrzuci z fabryki, jeśli sam stąd nie odejdzie, że uczyni wszystko, aby przekonać dyrekcję i załogę, że on, Rychwał, jest człowiekiem szkodliwym i niebezpiecznym: dlatego należy go usunąć z fabryki. Robotnicy wbrew czy mimo swej woli zostali wciągnięci do tej rozgrywki i wtedy cóż się okazało? Że najbardziej zacofani ludzie stanęli po stronie Barana, członka partii. Nasi najlepsi ludzie, członkowie partii, wzięli stronę Rychwała. Sytuacja na fabryce stała się nieznośna. Wieczne spory i swary odciągały ludzi od pracy. Robotnicy patrzyli na siebie wilkiem, rwali się do bijatyki. Zacząłem przepytywać ludzi, chciałem dojść przyczyn waśni, ale ciągle napotykałem na opór, jednakże jedno było bezsporne. Ludzie świadomi bronili Rychwała, nieuświadomieni — Barana, ci najgłośniej domagali się usunięcia Rychwała.

Wszedłem kiedyś do stołówki w czasie obiadu i byłem świadkiem takiej „gawędy":

— Rychwał musi stąd pójść.

— Tak — dodał drugi — musi pójść i to najprędzej.

Baran stał wśród zebranych i mówił głośno:

— Ja go tak urządzę, że sam poprosi o zwolnienie.

— Zróbcie, Baran, zróbcie to. Was poważają, jesteście przecież w partii.

Zapytałem:

— A niby dlaczego macie to zrobić?

Zapanowało nagłe milczenie.

— No, powiedzcie mi, dlaczego chcecie, żeby Rychwał poszedł od nas, przecież musi być jakieś uzasadnienie. Chłop dobrze robi, jest uczciwy...

Nie dokończyłem zdania, gdy któryś wtrącił:

— Ale ma żonę Rosjankę.

(Dokończenie na str. 9)

---

stycznego realisty. Walka nowego ze starym jest najistotniejszym momentem epoki budowania socjalizmu i komunizmu. Nigdy nowe pierwiastki nie wyłaniały się w takiej obfitości ani w takim tempie. Toteż jedną z istotnych różnic między realizmem krytycznym a realizmem socjalistycznym jest to, że realizm krytyczny czy naturalizm czerpał tworzyło swoje z układów życia, które w danym ukształtowaniu pozostawały przez dłuższy okres czasu, majsterstwo pisarza polegało na tym, żeby dać kształt artystyczny tym wyraźnie uformowanym rzeczom i sprawom. Realizm socjalistyczny ma do czynienia z rzeczywistością zmieniającą się, przeobrażającą się z dnia na dzień. Nie wystarczy tu najbardziej nawet wyostrzona zdolność widzenia w najkonkretniejszych szczegółach tego co stało się formacją typową, na pewien okres czasu, z grubsza biorąc, statyczną — realista socjalistyczny nie spełni swego zadania, jeżeli na dzień dzisiejszy nie potrafi spojrzeć *z pozycji jutra*, t.zn. nie dostrzeże miejsca, jakie jutro zajmie zjawisko, które dziś dopiero kiełkuje, które jeszcze nie narzuca się oku. Najlepsze osiągnięcia realizmu socjalistycznego w literaturze radzieckiej mają dlatego właśnie znaczenie prekursorskie, że nadają formę zjawisku (a więc utrwalają w powszechnej świadomości) które poza tym nie zostało jeszcze uchwycone w całej swojej złożoności, swoistości i znaczeniu. Dla przykładu wymienię powieść Krymowa „Statek Derbent", która dała wyraz artystyczny rodzącemu się wówczas ruchowi stachanowskiemu, stając się transmisją doprowadzającą ten ruch do świadomości mas.

Warto przypomnieć tu, że Krymow pracował przez lat parę jako inżynier na tankowcach Morza Kaspijskiego (jednym z takich tankowców jest właśnie jego „Derbent").

Krymow wstąpił do partii dosłownie w przededniu śmierci (zginął podczas wojny, w r. 1941, na Ukrainie, kiedy oddział jego usiłował przedrzeć się przez zwarty pierścień wojsk hitlerowskich). Ale wybitnie partyjna postawa tego bezpartyjnego pisarza, łącznie z tym, że ludzi i sprawy, o których pisał, znał nie z doraźnych tylko wypraw „w teren", lecz z wieloletniej zawodowej pracy — zadecydowały o konkretności, żywości i sile obrazów tej powieści. *Konkretność* odtworzenia rzeczywistości jest niezbędnym warunkiem przekonywującej prawdy i mocy oddziaływania utworu, a osiągnąć jej nie można bez bogatej znajomości życia.

Nie idzie przy tym tylko o znajomość rzeczowych konkretów, realiów. Dopiero taka znajomość rzeczywistości, która daje głęboki wgląd w duszę działającego na danym odcinku *człowieka*, będzie miała dla utworu decydujące znaczenie. Pamiętać muszą o tym również twórcy naszej nowej literatury — Wilczek, Zalewski, Konwicki. Nosicielem przemian rewolucyjnych jest człowiek. Przemieniając życie, rzeczywistość, człowiek sam siebie przemienia. A szybkości narastania w ustroju socjalistycznym nowych pierwiastków w rzeczywistości zewnętrznej i w układzie międzyludzkich stosunków odpowiada szybkość przemian w stosunku człowieka do pracy, w jego horyzoncie umysłowym, w jego moralnej jakości. Ukazać nową jakość człowieka - budowniczego socjalizmu, jakość inną na każdorazowym nowym etapie rozwoju socjalistycznego budownictwa — to jedno z naczelnych zadań literatury realizmu socjalistycznego. Znawstwo duszy ludzkiej obowiązuje pisarza dziś równie jak ongiś, ale znawstwo istotne, głębsze, gdyż wynikające ze zrozumienia społecznego uwarunkowania najsubtelniejszych nawet reakcji i impulsów w człowieku.

„Inżynierami dusz ludzkich" (Stalin) są pisarze właśnie dlatego, że postacie przez nich tworzone ogniskują w sobie najistotniejsze rysy tej cudownej przemiany, tej nowej jakości, jaką wyzwolił w człowieku ustrój sprawiedliwości społecznej, posiadając więc zdolność zarażania, zniewalają urokiem moralnej siły, bohaterstwa, duchowego piękna, pobudzają do naśladownictwa. *Pozytywny bohater* — postać niemal z reguły papierowa w utworach realizmu krytycznego, stał się najżywszą centralną postacią w literaturze socjalistycznego realizmu, literaturze, którą cechuje jedność *celów poznawczych i celów wychowawczych.*

Z tego co powyżej było powiedziane o szybkości przemian dokonywujących się w naszej epoce zarówno w świecie zewnętrznym, jak w twórcy tych przemian, człowieku, z tego, że literatura, by spełniać swe zadania, musi za tymi przemianami nadążać — wynika postulat *aktualności*. Żeby chwytać rzeczywistość in statu nascendi — w procesie narodzin — trzeba tematów ostro aktualnych. Uważnego czytelnika literatury radzieckiej uderza fakt, jak szybko w tematyce powieści czy opowiadania spotyka sprawy i zjawiska, które stanowią novum, coś co dopiero wypłynęło jako zagadnienie w życiu

Nie wynika stąd wcale, jakoby w literaturze realizmu socjalistycznego znajdowały wyraz artystyczny tylko pierwiastki nowe, pozytywne. Epoka budowania socjalizmu jest epoką nieubłaganej, zaciętej walki zarówno z wrogiem klasowym (na pierwszym jej etapie), jak z przeżytkami przeszłości w psychice człowieka, które są silnym i długotrwałym obciążeniem. Rzecz jasna, że odsłanianie tej walki, demaskowanie tych przeżytków, obrazy ich przezwyciężania stanowią bardzo istotny moment w twórczości pisarzy socjalistycznych. Jednakże bez względu na to, jak ciężkie zmagania są przedmiotem utworu, wydźwięk jego jest *optymistyczny*, i nie do pomyślenia jest, aby mógł być inny: klasa o tak doniosłej misji dziejowej, klasa zwycięska (która już zwyciężyła, albo tam, gdzie nie zwyciężyła jeszcze, ma pewność, że zwycięży jutro) nie może zrodzić literatury pesymistycznej. Dzisiaj, w dobie ostatecznej rozgrywki na całym świecie, pesymizm i optymizm stały się kategoriami klasowymi, nie sprawą usposobienia, dyspozycji psychicznych jednostki, lecz sprawą pozycji klasowej, sprawą poglądu na świat. Nie mówiąc już o utworach literatury radzieckiej, których optymizm nasycony jest patosem zwycięskiej drogi ku komunizmowi — nawet „Reportaż spod szubienicy" Fuczika czy „Listy rozstrzelanych" najlepszych synów Francji, tak pełne grozy, mają w sobie jakże wielki ładunek optymizmu.

Realizm tej literatury jest przeto w swoisty sposób zespolony z *romantyzmem*. To co idealizm burżuazyjny rozgradzał, szufladkował jako zjawiska odrębne, nieprzenikające się wzajemnie: realizm i romantyzm, rzeczywistość i marzenie — tego jedność postuluje realizm socjalistyczny. Epoka budownictwa socjalizmu łączy w sposób nierozerwalny realizm twardej ciężkiej pracy przy warsztacie, na rusztowaniach budującego się gmachu, i romantyzm tworzenia nowego sprawiedliwego świata. Praca człowieka jest zarówno aktem realnego budownictwa jak ucieleśnieniem marzenia. Jej rozmach, jej perspektywy, jej nowa jakość pracy twórczej decyduje o tym.

I dlatego właśnie, że praca, walka, budownictwo, przezwyciężanie przeszłości zarówno w rzeczywistości samej jak w psychice tworzącego ją człowieka, stanowią zasadnicze tworzywo literatury realizmu socjalistycznego: jej cechę wybitną — mówię tu o prozie opowiadającej — jest jej *akcyjność*.

„Naszym punktem wyjścia — stwierdzali Marks i Engels — jest nie to co ludzie mówią, co sobie wyobrażają i przedstawiają, nie są ludzie ujęci w słowie, w myśli, w przedstawieniu i wyobrażeniu, nie od nich idziemy do ludzi rzeczywistych, naszym punktem wyjścia są ludzie istotnie czynni, z ich rzeczywistego procesu życiowego wyprowadzamy również rozwój ideologicznych odzwierciadleń i oddźwięków tego procesu życiowego." („Niemiecka ideologia").

Proza realizmu socjalistycznego nie nie może być amorficzna, pozbawiona konstrukcji i akcji; traktując wszelkie przemiany w psychice, w ideologii, w samowiedzy człowieka jako „odzwierciedlenia i oddźwięki procesu życiowego", musi ona odtwarzać ten proces życiowy z wszystkimi jego perypetiami, aby ukazać człowieka, który go tworzy i jest przez niego tworzony. Sprawa kompozycji, sprawa nasycenia fabularnego, nasycenia akcją nie jest sprawą formy tylko, jest sprawą treści, sprawą ideologii.

*

Jest rzeczą znamienną, że samo określenie scharakteryzowanej powyżej metody twórczej jako „realizmu socjalistycznego" zrodziło się nie w środowisku literackim, lecz poza nim. Tymi słowami określił literaturę epoki socjalizmu Stalin. Określił ją tak na początku lat trzydziestych największy kontynuator marksowskiej myśli, a jednocześnie największy wódz i strateg proletariatu w jego codziennej walce i pracy.

Określenie to wskazuje zarówno na konieczność prawdziwego, głębokiego odtwarzania życia — *realizm* — jak i na socjalistyczną jakość tego realizmu, „odtwarzanie rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju." (Żdanow).

Można wyodrębnić w analizie poszczególne cechy, właściwości tej metody twórczej, stanowiące niejako normy estetyki marksistowskiej, ale pamiętać trzeba o tym, że nie stanowią one jakichś niezależnych jedna od drugiej, niepowiązanych ze sobą jakości, lecz tylko poszczególne strony postawy twórczej, korzeniami swymi tkwiącej w dialektycznym materializmie jako filozoficznej podstawie marksizmu.

„Linię rozwoju marksizmu jako całości i dialektycznego materializmu jako jego filozoficznej podstawy określały zawsze najistotniejsze interesy partii i rewolucyjnego ruchu robotniczego, była ona zawsze wytyczana i wypracowywana w toku rozwiązywania politycznych zadań proletariatu." (M. A. Leonow „O przeobrażającej roli materializmu dialektycznego", „Woprosy fiłosofii" Nr. 2, 1949).

Tym się tłumaczy ogromne znaczenie dla literatury epoki socjalizmu cechującej ją jedności metody twórczej i marksistowskiego poglądu na świat najwybitniejszych jej przedstawicieli.

Melania Kierczyńska

Stolik montażysty filmowego

»Anno, chwyć rewolwer!«

Miasto Chicago, siedlisko paru multimilionerów i rzesz bezrobotnych stało się w tych dniach widownią „największego wydarzenia w dziejach Ameryki". Jak widzimy z tego sloganu ludzie, którzy organizowali to „wydarzenie", odznaczali się szlachetną skromnością. Byli to oczywiście filmowcy — AMERYKAŃSCY — filmowcy.

Pierwszy w USA zjazd dyrektorów kluczowych biur wynajmu filmów! Powód zjazdu: kryzys filmowy. Na zjeździe omawiano „bardzo poważnie" powody kryzysu i na zakończenie powzięto zdumiewającą w swej prostocie rezolucję. Brzmi ona:

„Filmy są l e p s z e niż kiedykolwiek" — a jeśli publiczność nie chce tego ocenić, trzeba ją zmusić przy pomocy reklamy jakiej świat nie widział.

I oto „zasłużony" koncern M.G.M. rozpoczął kampanię reklamową.

„Pierwsza komedia muzyczna, w której rewolwer gra główną rolę!"

„Anno, chwyć rewolwer" — to Buffallo Bill w spódnicy".

„Nigdy dotąd Amerykanie nie wydali tyle pieniędzy na żaden film w technikolorze — ile wydadzą na „Annę".

„Kobieta kow-boy! Kobieta strzela! Trupy na wesoło!"

„Słynny Lew Metro-Goldwyn s t.r a c i ł głos z zachwytu nad swym najnowszym, wiekopomnym dziełem!"

„Filmy SĄ lepsze niż kiedykolwiek." Aby udowodnić, że tak jest istotnie, wymieniona wytwórnia urządziła w ośmiu miastach USA przedpremiery filmu po podwyższonych cenach. Zamiast 30 centów, bilet najtańszy wynosił 50 c. (przed obniżką cen spowodowaną kryzysem bilety były po 45 c. — przyp. nasz).

„Wybraliśmy umyślnie — wydrukowano w biuletynie wytwórni — osiem miast najbardziej charakterystycznych dla USA, a więc wielkie miasto przemysłowe, miasto — centrum ośrodka rolnego, odległe miasteczko na Dzikim Zachodzie, konserwatywne miasto w Stanach Południowych itd itd! ZOBACZYCIE! WSZĘDZIE POTWIERDZI SIĘ NASZA PRZEPOWIEDNIA: Superkomedia sensacyjna: „ANNO, CHWYĆ REWOLWER" POBIJE WSZYSTKIE REKORDY KASOWE WSZYSTKICH CZASÓW."

Prasa amerykańska subwencjonowana przy pomocy olbrzymich ogłoszeń przez przemysł filmowy wypisywała hymny pochwalne na cześć Anny:

„Nigdy jeszcze nie widzieliśmy na ekranie tyle trupów, położonych z temperamentem przez kobietę z towarzyszeniem wesołych piosenek i przepięknych melodii X. Y. „Metro" nie przesadziło z reklamą. Zobacz to k o n i e c z n i e. To triumf! (It's a hit!)

Przedpremiery w owych ośmiu miastach odbyły się 7 maja.

„Variety" (organ branżowy podający wiadomości kasowe bezwzględnie obiektywne) z dn. 10 maja:

„W trzech miastach, z których doszły wiadomości o przedpremierze Anny, kasy są d o b r e. (Business is o. k.)

„Variety" z 17 maja br. (specjalny artykuł). „Metro" zawiodło się na Annie." Treść:

„W ośmiu miastach, w których „Metro" dało przy podwyższonych cenach przedpremierę swego głośno reklamowanego filmu „Anno, chwyć rewolwer" wyniki kasowe okazały się nieoczekiwanie słabe. WIDOCZNIE PUBLICZNOŚĆ NASZA NIE MA OCHOTY PŁACIĆ WIĘCEJ PIENIĘDZY ZA SŁABSZE FILMY".

„Widocznie nie ma" — całkowicie zgadzamy się z tym. Nie ma także ochoty płacić n o r m a l n y c h cen, skoro frekwencja spadła o 35 proc. REWOLWEROWA POLITYKA ZACZYNA ZAWODZIĆ NAWET W FILMIE.

Kosztowna „Anna" i jej krewni pójdą niedługo na śmietnik.

Puk

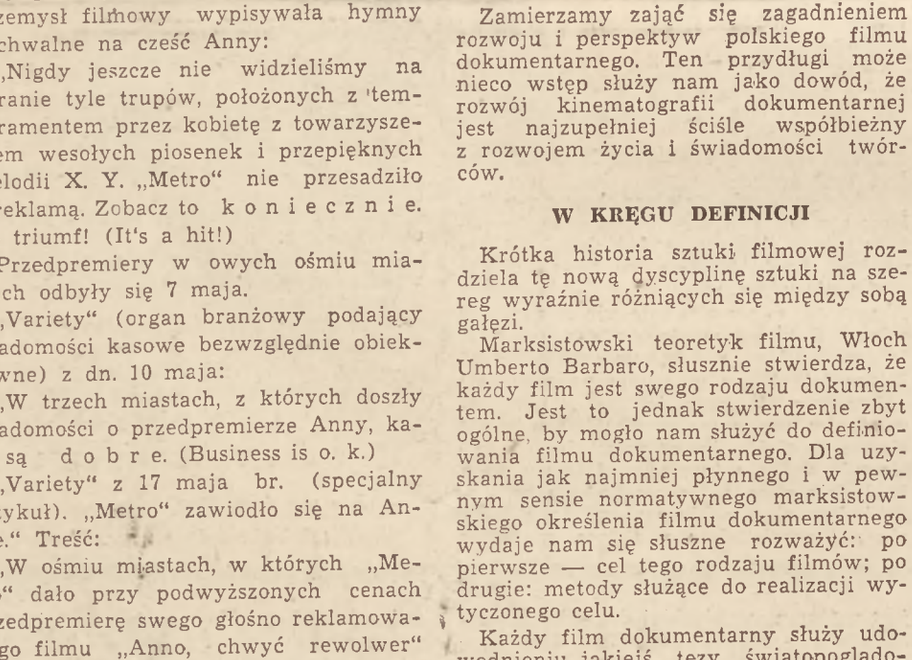

Foto Film Polski

Scena z filmu „List Górnika"

Artykuł dyskusyjny

ZBIGNIEW OŁANIECKI i ANDRZEJ MAN

W walce o filmowy dokument naszych czasów

Lenin już w pierwszym okresie tworzenia się władzy radzieckiej przywiązywał wielką wagę nie tylko do politycznego i ideologicznego oddziaływania filmów dokumentarnych, ale także do ich zasadniczego znaczenia w rozwoju sztuki filmowej. Lenin stwierdzał, że droga do filmu realistycznego prowadzi poprzez rozwój filmu dokumentarnego i kroniki filmowej.

Tę drogę bez wątpienia przebył film radziecki. Plakaty filmowe i tzw. „propagitki", przerzucane specjalnymi pociągami filmowymi z miejsca na miejsce, spełniły bez zarzutu swą ważną rolę agitacyjną, wzywając do obrony młodej władzy radzieckiej. Droga radzieckiej kinematografii dokumentarnej po zakończeniu wojny domowej to pokazywanie olbrzymich osiągnięć w budowaniu socjalistycznego państwa i społeczeństwa. Film „Turksib", opowiadający o budowie linii kolejowej, nie tylko dopomógł do szybszego ukończenia tej budowy, ale wyzwolił energię wielu radzieckich budowniczych, stał się dla nich bodźcem do zwiększenia wysiłków.

W czasie ostatniej wojny na wszystkich odcinkach frontu i w oddziałach partyzanckich walczyli operatorzy filmowi, dokonując zdjęć. Powstawały filmy o bohaterstwie ludzi radzieckich, o genialności stalinowskiej strategii, o olbrzymim wysiłku przemysłowego i kołchozowego zaplecza pozafrontowego. Po zwycięstwie radziecka kinematografia dokumentarna rejestruje na taśmie budowę komunizmu w Związku Radzieckim i walkę o pokój — wciąż się rozwija.

Filmy dokumentarne cieszą się w ZSRR olbrzymią popularnością — miliony widzów czerpią z nich nie tylko faktyczne wiadomości o rozwoju życia Związku Radzieckiego przez pracę jego obywateli, lecz także znajdują w tych filmach przemawiające do każdego przykłady twórczej walki i pracy.

Rozwój radzieckiego filmu dokumentarnego stał się bazą powstania pierwszych teoretycznych sformułowań w tej specyficznej gałęzi sztuki filmowej. Dziga Wiertow stworzył szkołę „Kino-oko", domagając się od kamery filmowej i reżysera dokumentarzysty fotograficznie wiernej rejestracji wydarzeń. Po przezwyciężeniu tej naturalistycznej z założenia metody twórczej, realizatorzy radzieccy przyjęli jedynie słuszną metodę realizmu socjalistycznego, która pozwala im tworzyć coraz wybitniejsze dzieła.

Kinematografia dokumentarna krajów zachodniej Europy ma do zanotowania niewiele dzieł wybitnych, które w większości wypadków zrealizowane zostały przez postępowych filmowców (Flaherty, Wright, Ivens i inni).

*

Zamierzamy zająć się zagadnieniem rozwoju i perspektyw polskiego filmu dokumentarnego. Ten przydługi może nieco wstęp służy nam jako dowód, że rozwój kinematografii dokumentarnej jest najzupełniej ściśle współbieżny z rozwojem życia i świadomości twórców.

W KRĘGU DEFINICJI

Krótka historia sztuki filmowej rozdziela tę nową dyscyplinę sztuki na szereg wyraźnie różniących się między sobą gałęzi.

Marksistowski teoretyk filmu, Włoch Umberto Barbaro, słusznie stwierdza, że każdy film jest swego rodzaju dokumentem. Jest to jednak stwierdzenie zbyt ogólne, by mogło nam służyć do definiowania filmu dokumentarnego. Dla uzyskania jak najmniej płynnego i w pewnym sensie normatywnego marksistowskiego określenia filmu dokumentarnego wydaje nam się słuszne rozważyć: po pierwsze — cel tego rodzaju filmów; po drugie: metody służące do realizacji wytyczonego celu.

Każdy film dokumentarny służy udowodnieniu jakiejś tezy światopoglądowej. Teza ta zaczerpnięta jest z konkretnej rzeczywistości społecznej; film operuje materiałem dowodowym, wybranym z tej rzeczywistości, pokazuje ją i interpretuje — co słusznie robić może jedynie w oparciu o marksistowską metodę myślenia twórczego.

Właściwie postawiona teza filmu dokumentarnego winna być syntetyczno-odkrywcza — film powinien pokazywać motory działania ludzi i sprężyny zachodzących wydarzeń.

Teza, która nie daje się uogólnić względem wszystkich odbiorców filmu, ich pracy i życia, jest wycinkowa, jest zła. Film dokumentarny powinien jasno i bezpośrednio przemawiać do każdego odbiorcy.

Ogólnie mówiąc, film dokumentarny odpowiada nie tylko na pytanie: co? — ale powinien także wyczerpująco odpowiadać na pytania: dlaczego? — i: w jakim kierunku, dokąd?

Formalne podejście do filmu dokumentarnego sprawia, iż za dostateczny dowód dokumentarności dzieła uważana jest fotograficzna protokólarność i elementy konkretnej rzeczywistości: prawdziwi aktorzy i prawdziwa sceneria. Jest to stwierdzenie słuszne, ale nie wyczerpujące zagadnienia, bo jednostronne. Trzeba wyjść poza to sformułowanie i stwierdzić, że wszystkie elementy składające się na film dokumentarny są wzajemnie powiązane i uwarunkowane przez tezę, której udowodnieniu służy dzieło.

Właściwa interpretacja tezy zaczerpniętej z konkretnej rzeczywistości społecznej może dokonywać się jedynie drogą eliminacji i selekcji elementów, które stworzą dzieło. Stąd konieczność podporządkowania i fotograficznej protokólarności, i rzeczywistego aktora, i prawdziwej scenerii tezie filmu, która wyrasta z marksistowskiego spojrzenia na świat i siły kierującej rozwojem rzeczywistości.

Panują jeszcze nieporozumienia w związku z zagadnieniem fabuły w filmie dokumentarnym. Jest to, jak sądzimy, skutek nieszczęśliwie dobranego określenia: film fabularny, miast słuszniejszego: film artystyczny.

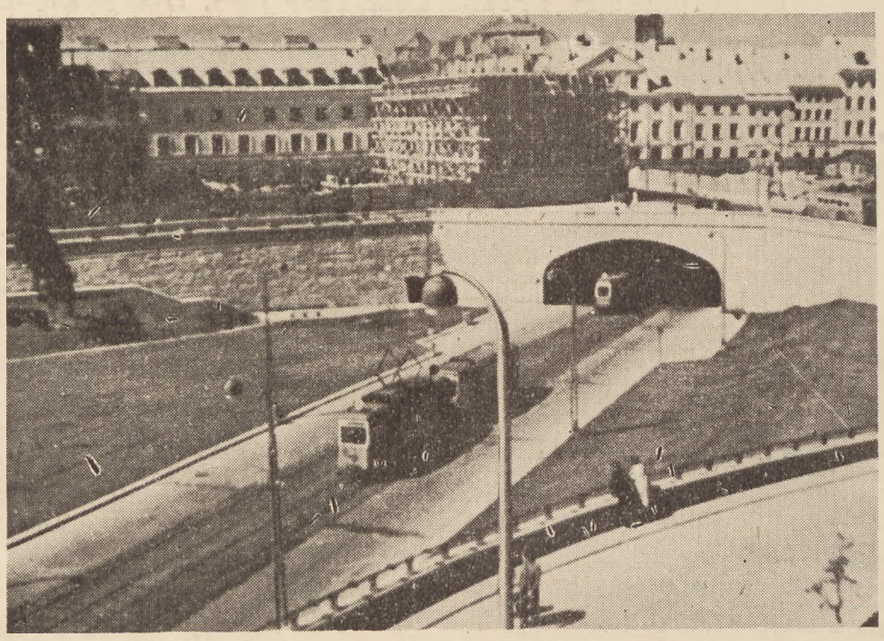

Foto Film Polski

Scena z filmu „Szeroka Droga"

Oczywiście film dokumentarny nie jest filmem bez fabuły. Ideologia filmu wyraża się w tezie, która jest pokazywana przez działalność człowieka — a to stanowi przecież fabułę filmu, choć funkcja jej jest inna niż w filmie artystycznym. Fabuła filmu dokumentarnego powinna we wszystkich momentach swego rozwoju służyć tezie filmu i tylko nią być uwarunkowana. Fabuła filmu artystycznego niejednokrotnie służy tylko do podmalowania nastroju czy atmosfery, charakteru bohaterów itp. W filmie dokumentarnym fabuła spełnia funkcję filtru, przez który przenikają elementy dowodzenia słuszności stawianej przez film tezy.

Zależność między filmem dokumentarnym a filmem artystycznym jest bardzo zbliżona do zaczerpniętego z innej dziedziny sztuki, z literatury, porównania powieści i artystycznego reportażu (w ZSRR tzw. oczerk). Chodzi tu nie tylko o powierzchowne podobieństwo, ale przede wszystkim o głębszą zależność genetyczną. „Oczerk" narodził się i zatriumfował w Związku Radzieckim stosunkowo niedawno — twórcy tego gatunku literackiego czerpali z doświadczeń powieściopisarzy.

U nas artystyczny reportaż literacki dopiero się rodzi, a film dokumentarny nie bardzo ma skąd czerpać polskie tradycje filmowe i stoi jeszcze na jednym z wcześniejszych stopni rozwoju.

Film dokumentarny jest ze wszystkich gałęzi sztuki filmowej najbardziej bezpośrednio związany z konkretną rzeczywistością społeczną, w której powstaje. W epoce wielkich przemian społecznych rozwój bazy ekonomicznej wyprzedza rozwój nadbudowy ideologicznej, a więc także sztuki, a więc także filmu, a więc także filmu dokumentarnego.

Funkcją filmu dokumentarnego, sensem i celem jego istnienia jest likwidowanie rozbieżności między rzeczywistością a jej artystyczną interpretacją. Właściwie pojęty film dokumentarny, służący wielkim przemianom społecznym, powinien przez marksistowską interpretację rozwoju rzeczywistości przyczyniać się do tego rozwoju i jako jeden z wielu fragmentów rewolucjonizującej się nadbudowy ideologicznej zmieniać się współbieżnie do zmian bazy ekonomicznej, a nieraz nawet wyprzedzać niektóre z tych zmian, przewidywać je i organizować.

Sformułowania powyższe, choćby ze względu na swą szczupłość, nie stanowią żadnego spoistego systemu i niewątpliwie podlegną dyskusji, która może wiele teoretycznie wyjaśnić, a przez to pomóc rozwojowi praktyki — przyczynić się do przyśpieszenia rozwoju polskiego filmu dokumentarnego.

NASZA DROGA DO FILMU DOKUMENTARNEGO

Oczywistą jest rzeczą, że historia polskiej kinematografii dokumentarnej, nawet tylko w najważniejszym, powojennym okresie, jest zbyt obszerna, by choć szkicowo pomieścić się w ramach jednego artykułu. Wydaje się nam natomiast niezbędnym stwierdzenie, że polska kinematografia dokumentarna stanowi swego rodzaju „terra incognita" dla odbiorców, przeważnie z winy wadliwej dystrybucji. Ten nieraz naciskany „dzwonek alarmowy" jest także powodem, że omówimy tylko szkicowo, w celu wykrycia pewnych tendencji rozwojowych, trzy najbardziej charakterystyczne polskie filmy dokumentarne, niewątpliwie znane wielkiej rzeszy odbiorców, szeroko i długo eksploatowane na wszystkich ekranach kraju.

Pierwszy z nich to „Suita Warszawska" Makarczyńskiego. Jest to film bez wątpienia fałszywy ideologicznie, nieprawdziwie oddający życie. Twórca zauważył nędzę spalonych warszawiaków powracających do Stolicy i upiorne piękno gruzów. Nie zauważył i nie uwypuklił w filmie potężnej siły przetwarzającej rzeczywistość, która działała wówczas, gdy Stolica dopiero zaczynała podnosić się z gruzów i która coraz intensywnie, działa dzisiaj. Klasa robotnicza to pojęcie, które w „Suicie Warszawskiej" właściwie nie istnieje. Radość rejestrowana przez twórcę filmu ma charakter raczej biologiczny, przestaje być twórcza. Formalnie film jest ścisłym, a nawet niewolniczym odbiciem spóźnionych co najmniej o dwadzieścia lat wzorów awangardy francuskiej.

Drugim z filmów, które pragniemy omówić, jest „List górnika" Vogla. Film ten został bardzo przychylnie przyjęty przez wszystkich krytyków, gdyż pokazał po raz pierwszy w Polsce na ekranie tzw. „szarego człowieka". Jest to w pewnej mierze nieporozumienie, bo tematykę takiego „szarego człowieka" powinny były już dawno poruszyć filmy artystyczne. Nie umniejsza to oczywiście zasługi reżysera Vogla ani nie likwiduje wartości filmu. Dążenia fabularne mocno zaciążyły jednak na filmie: bohater został izolowany od masy górników, przez co uległ pewnemu wykrzywieniu obraz ruchu racjonalizatorskiego. Dynamicznie pokazana walka o wprowadzenie w życie nowego usprawnienia pracy wyraźnie odcina się od drugiej części filmu: zwycięstwo nie zostało wygrane właściwie (za obrazem tablicy z rosnącymi wynikami współzawodnictwa zniknęli ludzie).

Kompozycyjnie, film ujęty w ramę listu górnika pomyślany został bardzo dobrze. Niektóre sceny przemawiają do widza pięknym, dynamicznym językiem filmowym.

Wreszcie trzecim z filmów, które chcemy omówić, jest „Szeroka droga" Gordona (film o budowie trasy W-Z).

Doskonała, wzięta celnie z życia i wstrząsająca tematyka filmu nie została przez twórcę przekazana widzom właściwym językiem filmowym. Wiele słusznych i wartościowych założeń znalazło miejsce tylko w komentarzu. Dynamika zdarzenia rozsadza ramy ekranu, porwała realizatora i zapanowała nad nim — stąd samo zdarzenie pokazane zostało raczej jako żywioł masy ludzkiej niż jako świadome działanie konkretnych ludzi.

Formalnie: w filmie wielokrotnie różnymi drogami i niesłusznie biegnie obraz i komentarz. Zwraca natomiast uwagę twórcze odnowienie treści starej rewolucyjnej pieśni robotniczej („Warszawianka" podłożona pod walkę klasy robotniczej w budowie trasy).

Te trzy krótkie omówienia, stanowiące tło do głębszych, bardziej drobiazgowych i zbędnych tutaj rozważań, umożliwiają najogólniejsze stwierdzenie: dotychczasowe błędy i niedociągnięcia polskiej kinematografii dokumentarnej wypływają przede wszystkim z braku tradycji w tej dziedzinie sztuki, z braku całkowitej dojrzałości ideologicznej twórców i niejednokrotnie z braku zdecydowanej świadomości, jakim celom ma służyć polski film dokumentarny.

Szereg innych filmów dokumentarnych, już zrobionych, robionych i planowanych, jest reprezentowany wyraźnie i ściśle przez tytuły tych filmów. Oto niektóre z nich: „Połowy dalekomorskie", „Ołtarz Wita Stwosza", „Szybkościowe skrawanie stali".

Gdyby chcieć dalej snuć analogie między literaturą a filmem i jednocześnie klasyfikować takie lub im podobne filmy dokumentarne można by je z dużą dozą słuszności określić terminem: mały dokumentaryzm. Naturalistyczna ścisłość realiów nie staje się tutaj rzeczywistością, nie przetwarza tej rzeczywistości, nie służy najważniejszym, najbardziej podstawowym sprawom naszych dni.

Mały dokumentaryzm to ograniczoność widzenia, wycinkowość, asyntetyczne zagubienie się w szczegółach. W sumie: groźne niebezpieczeństwo, którego lekceważyć nie należy, a nad którym warto poważnie pomyśleć.

Polska Kronika Filmowa to zagadnienie z filmem dokumentarnym wprawdzie pokrewne, lecz odrębne i różne, i w pewnej mierze wypadające z toku naszych rozważań.

POSTULUJEMY

Po wyciągnięciu najbardziej ogólnych wniosków z historii, po najbardziej ogólnym omówieniu zagadnień teoretycznych i wyników pracy praktycznej pozostaje rzecz najważniejsza — wyciągnięcie wniosków. Będą one siłą rzeczy również natury najbardziej ogólnej.

Film dokumentarny powinien stać się dokumentem naszych czasów, świadkiem i współtwórcą budowy socjalistycznego państwa i społeczeństwa polskiego. Oznacza to nie tylko ostateczne przezwyciężenie wszystkich przeżytków burżuazyjnego sposobu myślenia twórczego i burżuazyjnej interpretacji świata. Oznacza to także — i przede wszystkim — olbrzymi wysiłek artystycznej transpozycji twórczego zrywu społeczeństwa polskiego na język filmowy piękny, celny i dla wszystkich zrozumiały. Oznacza to konieczność jak najszerszego zastosowania i pogłębienia w pracy filmowców - dokumentarzystów twórczej metody realizmu socjalistycznego.

Motorem zachodzących w Polsce wielkich przemian jest klasa robotnicza. Działalnością klasy robotniczej kieruje jej Partia. Partyjność filmu dokumentarnego, o którą należy się bić bezustannie i bez wytchnienia, oznacza więc: pokazywanie kierowniczej roli klasy robotniczej i jej Partii, konsolidowanie i mobilizowanie całego społeczeństwa wokół klasy robotniczej i jej Partii, do nowych dzieł i wielkich zadań, które stoją przed nami.

Budowa socjalizmu jest procesem burzliwym. Jeżeli film dokumentarny chce aktywnie współuczestniczyć w tym procesie, musi widzieć energię, którą wyzwala budowa sprawiedliwego ustroju, i obowiązki, które na każdego z nas nakłada.

Film dokumentarny stanie na wysokości zadania wtedy, gdy będzie dynamicznym dokumentem pracy, syntezą elementów toczącej się walki. Na filmy o swojej pracy czekają współtwórcy Planu Sześcioletniego: budowniczowie Nowej Huty i nowych zakładów ciężkiego przemysłu. Na filmy o swoim życiu czekają chłopi z wciąż powstających spółdzielni produkcyjnych i wszyscy ci, którzy co dzień swoim wysiłkiem i zwycięstwami bronią pokoju.

Jeżeli filmy dokumentarne nie podchwycą zasadniczych tematów dnia dzisiejszego nie będą odzwierciadlały procesu budowy nowego społeczeństwa we wszystkich jego przejawach, nie staną się orężem we wspólnej nam wszystkim walce — nie spełnią swego bieżącego i najważniejszego zadania.

Te wielkie słowa wydają się może zbyt wielkie w zastosowaniu do tak małego wycinka naszego życia kulturalnego, jakim jest kinematografia dokumentarna. Jeżeli tak się dzieje, dzieje się dlatego, iż do tej pory nie możemy sobie powiedzieć, że nasza kinematografia dokumentarna właściwie i dobrze spełniała swoje zadania.

Dotychczasowa polityka programowa w tej dziedzinie wydaje się nam błędna. Mały dokumentaryzm nie jest i nie może być dojściem do wielkiego dokumentaryzmu — może stanowić tylko wycinek zasadniczych problemów, tło, na którym rozwija się taka kinematografia dokumentarna, jaka jest nam potrzebna: kształtująca nowego człowieka, współbudująca nową epokę.

Wielkie tematy, ekranowa transpozycja wielkich wydarzeń to sprawa bardzo trudna, szczególnie w braku wysoko wykwalifikowanych i odpowiednio licznych kadr twórców — nie upoważnia to jednak do rezygnacji z takiej tematyki i do swoitego lekceważenia odbiorcy, który i tak przyjmie to co mu zostanie podane.

Proces przestawiania polskiej kinematografii dokumentarnej na nowe tory nie może oczywiście dokonać się w ciągu jednego dnia — jak dotychczas pojawiało się jednak zbyt mało wyraźnych sygnałów tego procesu. Dotychczasowy stan rzeczy musi ulec zmianie.

Oznacza to konieczność wzmożenia wysiłków produkcyjnych, zarówno w sensie ilości jak i jakości, konieczność zamknięcia jednego okresu i otwarcia drugiego.

Przed polską kinematografią dokumentarną stoją wielkie zadania. Nie należy bać się patosu rewolucyjnych przemian. Bezpośrednia mobilizacja do twórczej pracy każdego widza, przemawianie doń syntetycznymi i realistycznymi obrazami, których prawda życiowa polega na dynamice rozwojowej — to obowiązek filmu dokumentarnego.

Te, najogólniejsze sformułowania wymagają drobiazgowego opracowania i jak najszerszej dyskusji, w której powinny wziąć udział i szerokie rzesze polskich widzów filmowych, i twórców filmów dokumentarnych, i wszyscy zainteresowani w przyszłości tej gałęzi naszej sztuki filmowej.

Jeżeli ten artykuł stanie się pierwszym, niekompletnym i może budzącym takie czy inne zastrzeżenia ogniwem w dyskusji, która jest bardzo potrzebna — wywiąże się z zadania, dla którego spełnienia powstał.

Zbigniew Ołaniecki
i
Andrzej Man

PRZED ŚWITEM

(Dalszy ciąg ze strony 7)

Rąbnąłem z miejsca:

— A komu co do tego, jakiej narodowości będzie matka jego dzieci?

Ludzie zamilkli, ale ja się nie uspokoiłem. Juz mnie trochę znacie, myślę, że w ciągu tych kilku tygodni już poznaliście mój charakter, niełatwo mnie wyprowadzic z rownowagi, ale nic mnie tak nie złości, nic tak nie wyprowadza mnie z rownowagi, jak próba poróżnienie ludzi tylko dlatego, że się urodzili w różnych stronach świata i używają innej mowy niż ja. Cholera mną tłukła.

— No, to co z tego, że ma żonę Rosjankę?

Do mojej wiedzy o Baranie doszła nowa: grał na najniższych nacjonalistycznych instynktach, ale wiecie zapewne, ze u podstaw nacjonalizmu jest jeszcze coś innego, polityczna podbudowa, i jesli powiem, że to wrogość do naszego, proletariackiego internacjonalizmu, to nie mowię jeszcze wszystkiego. W nacjonalizmie skupia się wszystko: wrogość do proletariatu, nienawisc do naszej idei, wrogość do Związku Radzieckiego, szkodnictwo, bandytyzm, wszystko zło, służba wrogom naszego kraju.

Przerwał, zdjął słuchawkę i kazał się ponownie połączyć z halą fabryczną, a zwracając się do mnie powiedział:

— Zaczekajcie chwilkę.

— Czy to wy, Skupień? Tak, to ja, jestem w biurze. Podajcie mi temperaturę obu pieców.

Czekał chwilę, aż tamten wrócił od pieców.

— 450? Dobrze, ale uważajcie mocno, bo to na eksport. A o której przestajecie kłaść cynk? O piątej? Dobrze, to znaczy, że gdzieś na szóstą piec będzie wyświecał, tak? No, to ja tam wpadnę, przyjdę tam z tym towarzyszem, wiecie z tym pisarzem, on chce zobaczyć czyszczenie. No, dobra, dobra.

— No, o czym to mówiłem? Pomyślał chwilę.

— Aha, już wiem. Baran i Rychwał. Wtedy wezwałem tego Rychwała i zapytałem go wręcz, o co Baranowi chodzi.

— On nie chce, abym tu pracował, nie lubi mnie i nie mogę mu mieć tego za złe. A zresztą, panie dyrektorze, to są nasze sprawy rodzinne, tak czy owak nie rozeznacie się w nich, po co więc zabierać sobie czas takimi rzeczami? I tak postanowiłem stąd pójść. Dziś jest tak, że łatwo znajdę pracę gdzie indziej. Machnął ręką, jak gdyby przekreślał jakąś przykrą myśl.

— Zróbcie, jak wam się podoba. Jeżeli się użeracie ze szwagrem, to se znajdźcie pracę gdzie indziej, nic mnie to nie obchodzi.

Po dwóch tygodniach wziął wypłatę, papiery i poszedł. I znów popełniłem błąd, a raczej kilka błędów, a to wszystko dlatego, że chciałem mieć spokój. Porosłem w dyrektorstwo. Ludzie się kłócą, a mnie to nic nie obchodzi, ludzie się wzajemnie wygryzają z fabryki, a mnie to było obojętne, ciekawe co było potrzebne, abym wejrzał w życie ludzi, w ich sprawy. To było tak, jakbym czekał, aż sobie łby poukręcają, abym dopiero spostrzegł, że istnieją między nimi jakieś konflikty i zatargi. Miałem więc spokój, ale za jaką cenę?

— Pomyślcie tylko. Komuś się nie podoba robotnik, który dobrze pracuje, ale ten ktoś tak długo pod nim kopie dołki, aż go wypycha, tak długo go gryzie, aż go wygryza, a ja, wielki dyrektor, chodzę po fabryce, patrzę na to wszystko spokojnie, aż wygrywa wichrzyciel i szkodnik. Barana chciałem wychowywać, a tu nagle rezygnuję z roli tego nieudolnego wychowawcy i pozwalam mu, aby postawił na swoim. A wiecie, skąd się to wzięło? Z szacunku przed tym drobnomieszczańskim zastrzeżeniem Rychwała, że to „ich sprawy rodzinne", a ja stary głupiec cofam się przed „sprawą rodzinną", jak przed fortecą, której nie wolno mi zdobyć: mogę, ale nie wolno mi. Ale widzicie, nie to jest najważniejsze w tej całej awanturze, ważna jest nauka jaką wyciągnąłem później z tej awantury: nawet sprawy rodzinne, te sprawy przed którymi cofnąłem się bojaźliwie, mają dziś swoje tło, swoje podłoże polityczne. Tak, tak towarzyszu, nie śmiejcie się z tego. Kiedyś wiedziało się, że ludzie się kłócą a nawet biją o jakiś hektar źle podzielonej ziemi, że rodziny żywią do siebie nienawiść z powodu jakiegoś spadku, który nie był wart funta kłaków, ale dziś? Gdy chodzi reakcji o walkę z nami, zrezygnuje wśród swoich z wszystkiego, zamkną oczy na wszelkie prywatne sprzeczności, byle się jednoczyć, byle się zespolić przeciwko nam. W tym wypadku nie chodziło oczywiście o zjednoczenie wrogich sił, tu chodziło o oczyszczenie swoich szeregów, aby zwarciej występowały przeciwko nam. Oni też czyszczą swoje szeregi, ale jest ta zasadnicza różnica, że my oczyszczając swoje szeregi eliminujemy elementy przestępcze, a oni na wywrót: usuwają uczciwych i przyciągają bandytów.

— I dalsza sprawa: czy wolno mi było dopuścić do tego, aby jeden robotnik występował przeciwko innemu? Bo co będzie, jeśli jutro Baranowi znów się ktoś nie spodoba i znów tak nakręci załogę, że część jej wraz z nim stanie przeciwko temu robotnikowi? Czy wolno dopuścić, aby on decydował, a nie kierownictwo fabryki? Albo rada zakładowa? Widzicie, dziś jesteśmy po czwartym plenum, ale trzy lata temu?

— Sprawę Barana postawiłem na najbliższym zebraniu egzekutywy. Jego nie wezwaliśmy, chcieliśmy rozważyć jego sprawę na ścisłym aktywie partyjnym i wtedy towarzysze — słusznie — zarzucili mi, że niesłusznie postąpiłem wyrażając zgodę na to, aby Rychwał opuścił fabrykę. Pytali, słusznie: czemu zgodziliście się na to, aby Rychwał poszedł, a nie usunęliście warchoła, Barana? Towarzysze mówili: Rychwał to dobry człowiek, pracowity, rozumny i klasowo uświadomiony, zamierzał nawet wstąpić do partii, ale — przez chwilę zapanowała przykra cisza — ale jego szwagierek, Baran, nasz towarzysz partyjny, odradzał mu złożyć deklarację.

— Jak to odradzał? Co mu mówił?

— Mówił to co mówi każdy nasz wróg: jak się odmieni, to będą wieszać członków partii, to mu mówił!

— To czemuście mi o tym nie mówili?

— A pytaliście się nas? Czy was dużo obchodzą ludzie? Wołacie o produkcję, o wykonanie planu, a kto to ma robić? Ludzie, ludzie! Ale ci was mało interesują!

Towarzysze mieli rację. Rozmyślałem i szeregowałem fakty, a fakty były takie: Baran stawiał na nacjonalizm, gromadził wokół siebie ludzi najbardziej zacofanych, maskował się i ukrywał swoją wrogość względem partii, zamiast przyciągać do nas ludzi wartościowych przeganiał ich od nas, czy to wszystko nie starczyło, aby skończyć z tą sprawą?

— Zapadła uchwała egzekutywy: Wydział personalny zwróci się do gminy, skąd Baran pochodzi, z prośbą o opinię, po czym poweźmiemy dalsze decyzje. Po kilku tygodniach nadeszła odpowiedź. Była lakoniczna i brzmiała: w urzędzie gminnym nie ma akt, któreby obciążały obywatela Barana.

— Czytałem to pismo wielokrotnie i coś zaczęło mi świtać. Bo, jakże to? Zakład prosi o opinię i w odpowiedzi piszą nam, że nie ma akt, któreby obciążały Barana, czy nie oznacza to, że jakieś akta były, ale ich obecnie nie ma? Normalnie urząd na pytania takie powinien był odpowiedzieć, że Baran to człowiek uczciwy lub nieuczciwy, karany czy nie karany, znany albo nieznany, czy zatem taka odpowiedź, jak przytoczona, nie wyjaśniała wszystkiego?

— Wówczas wezwałem do siebie szwagra Barana, Rychwała. Pracował wtedy w fabryce kabli. Rozumowałem tak: skoro obydwaj pochodzą z jednej gminy, skoro wiążą ich więzy rodzinne, to Rychwał powinien, musi nawet coś wiedzieć o swoim szwagrze. Przyjąłem go tutaj, siedział tak jak wy siedzicie teraz, na przeciw mnie, i rozpocząłem nieobowiązującą rozmowę. Pytałem, jak mu teraz idzie w robocie i czy nie chciałby do nas wrócić: mamy za mało ludzi.

Rychwał żachnął się gwałtownie:

— Za żadną cenę! Dopóki tu będzie mój szwagier, moja noga tu nie postanie. A zresztą mam pracę, po co mam zmieniać co kilka miesięcy zajęcie? Jużem się czegoś nauczył, ludzie dobrzy.

— Ale czego się tak gniewacie? Nie chcecie do nas przejść, to nie. Jedno mnie tylko interesuje: czy wy naprawdę o to się gniewacie na swego szwagra, dlatego że rozpowiadał ludziom, że wasza żona to Rosjanka?

Rychwał milczał i wówczas zapytałem:

— A cobyście powiedzieli, gdybyśmy jego stąd usunęli? On mi się coraz mniej podoba. Jest dwulicowy, nieszczery, bruździ nam w robocie...

Nie pozwolił mi dokończyć zdania. Rzucił się niemal ku mnie.

— Nie róbcie tego, dyrektorze, błagam was, nie róbcie tego!

Opanował się i znów powtórzył, ale spokojniej już:

— Nie zrobicie tego, wy tego nie zrobicie.

Postanowiłem sprawę zakończyć:

— Jeżeli nie podacie rzeczywistych powodów zatargu, jeżeli będziecie mi dalej oczy mydlić, to Baran jutro pójdzie stąd. Ja muszę wiedzieć, kto u nas pracuje, rozumiecie czy nie rozumiecie?

Milczał przez chwilę, ale nie przerywałem milczenia.

— Słuchajcie dyrektorze. Mój szwagier wie, że tylko ja znam jego tajemnicę. Jeśli go usuniecie z pracy, będzie wiedział, że tylko ja mogłem wam o nim coś powiedzieć, wówczas...

Przerwałem mu.

— Co wówczas? Może mi grozicie?

— Ja nie grożę. On mnie grozi.

— Czym?

— On nie chce, żebym był w jego pobliżu. Im dalej jestem od niego, tym lepiej dla niego. Odetchnął i dodał: i dla mnie.

Poniosło mnie i trzasnąłem w stół:

— Gadajcie do ciężkiej cholery, bo mnie wyprowadzacie z równowagi! Co wy chcecie, żebym tu w śledztwa jakieś się zabawiał. Gadajcie po robociarsku, jasno i otwarcie. Ja mam gdzieś waszego szwagra! Mnie o zakład chodzi, rozumiecie, o państwowe przedsiębiorstwo, ja muszę wiedzieć, kto tu jest! Rozumiecie!

— Mój szwagier nie może gdzie indziej pracować.

— Ale dlaczego? Gadajcież nareszcie!

— Bo wyście go przyjęli nie pytając o przeszłość. Jeżeli pójdzie gdzie indziej, to pewnie zaczną grzebać w jego papierach i wtedy nie dostanie pracy.

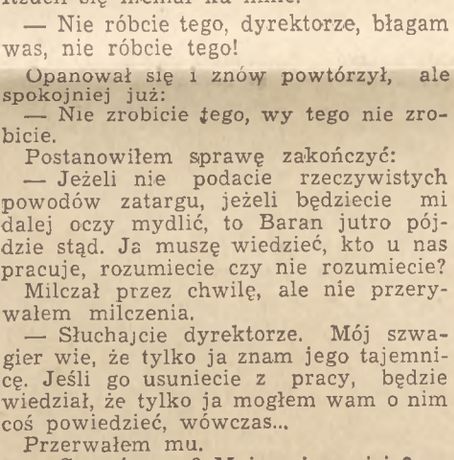

Przemówiłem, ale spokojniej już:

— Słuchajcie Rychwał, nie ma w Polsce Ludowej takiej ustawy, która zabrania uczciwym ludziom pracować.

— On już jest teraz uczciwy.

— Co znaczy „teraz"?

— Mój szwagier odsiedział przed wojną wyrok 7 lat więzienia.

Zaniemówiłem. Siedem lat! Serce zalał mi cały ból, cały żal za wszystkie lata mojego więzienia, moich towarzyszy. Pomyślcie: siedem lat!

— Za co siedział?

— Za mord rabunkowy. Zamordował księdza.

Stanisław Wygodzki

(Dokończenie w następnym numerze)

DOM SŁOWA POLSKIEGO

którego otwarcie nastąpi w Święto Odrodzenia — zwielokrotni potencjał techniczny ofensywy kulturalnej socjalizmu

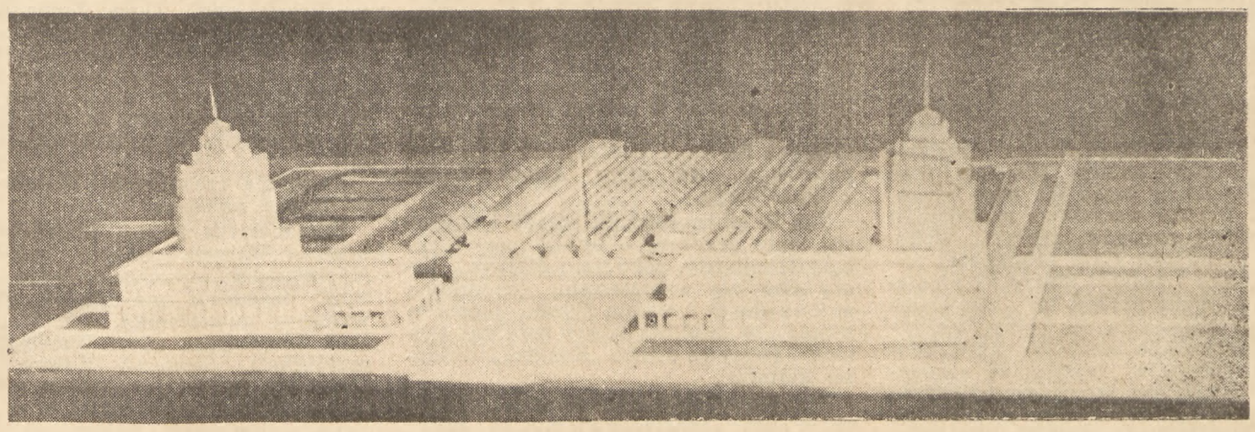

Foto API

Makieta Domu Słowa Polskiego

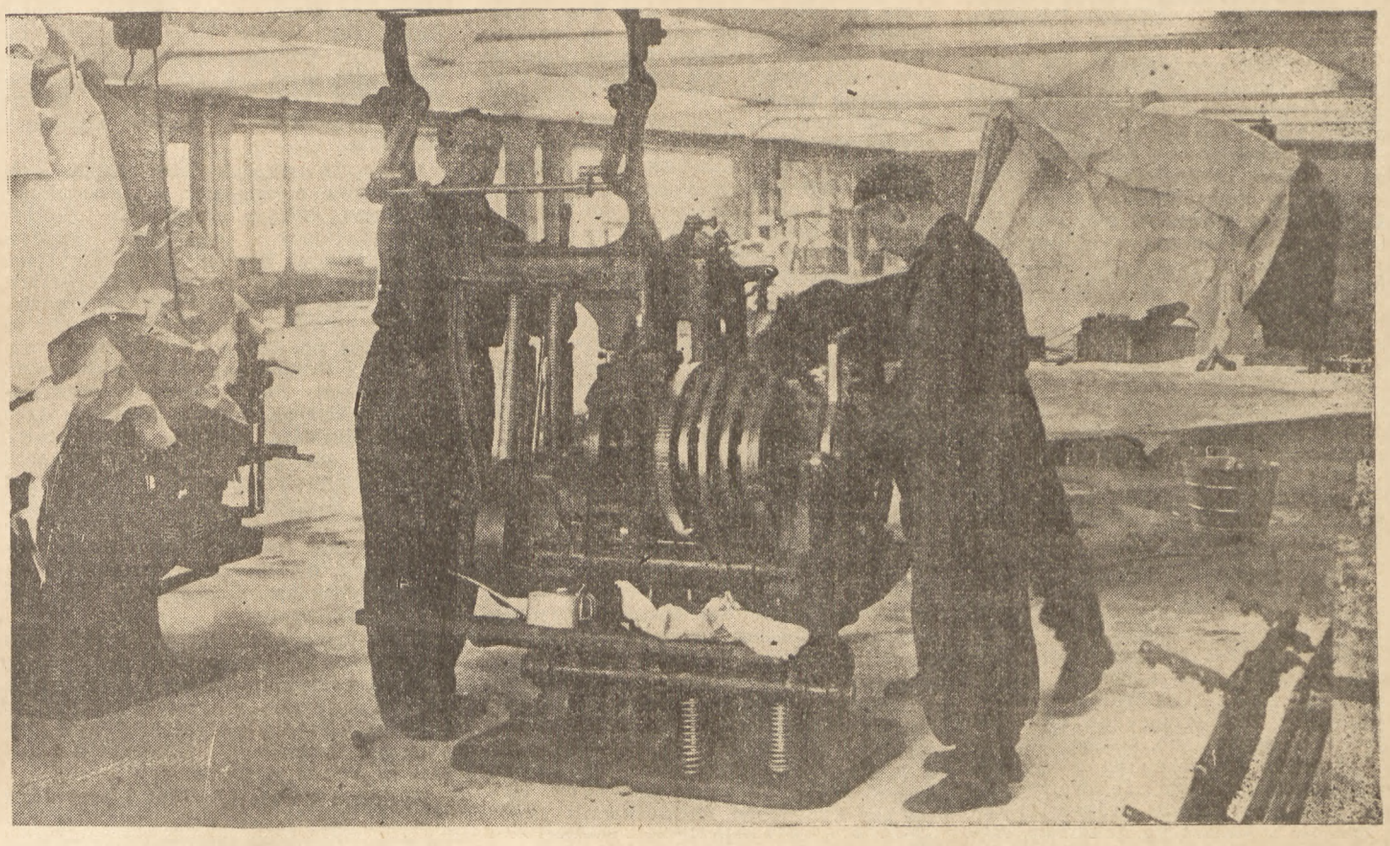

Foto API

Ustawianie linotypów

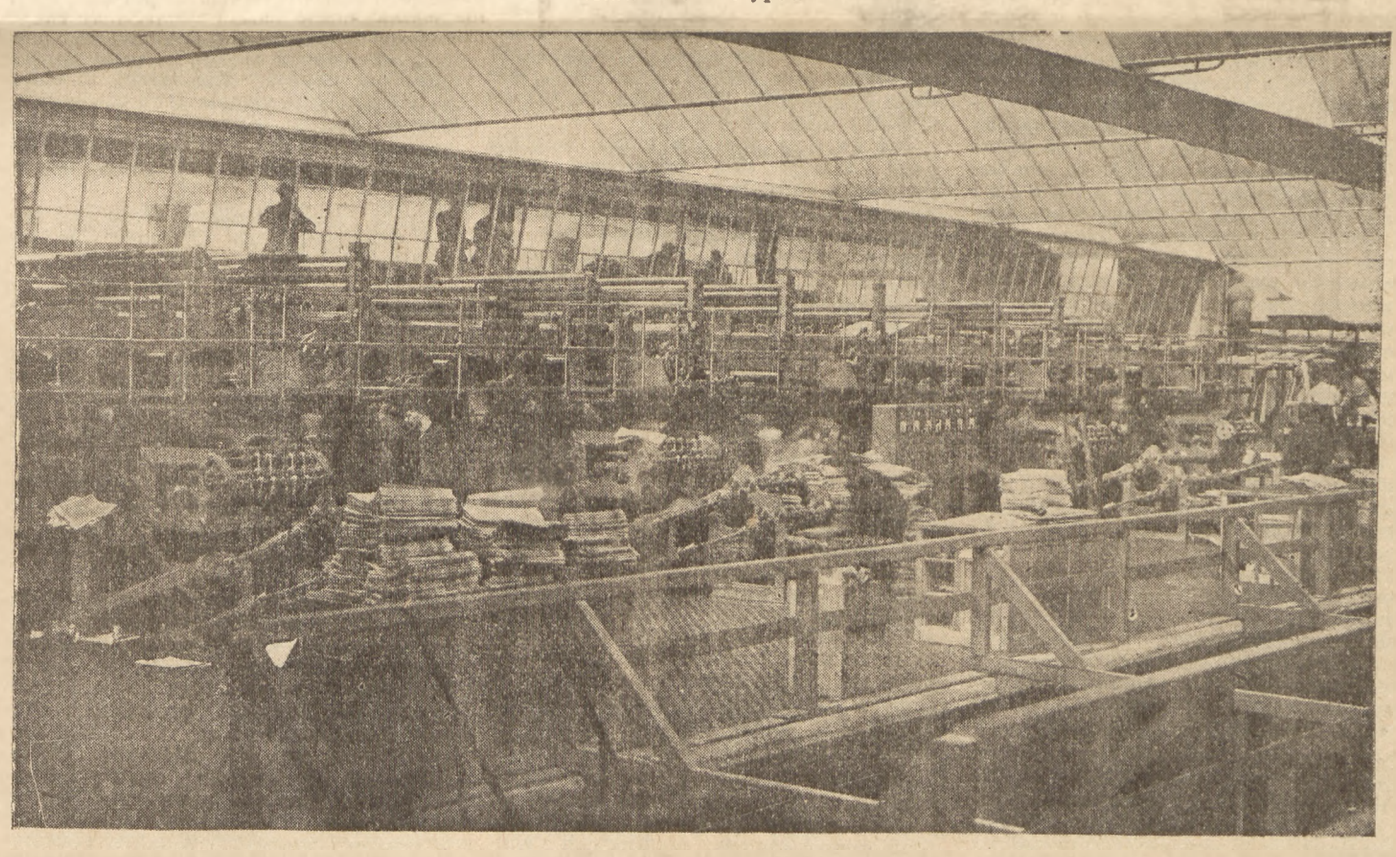

Foto API

Fragment wielkiej maszyny rotacyjnej

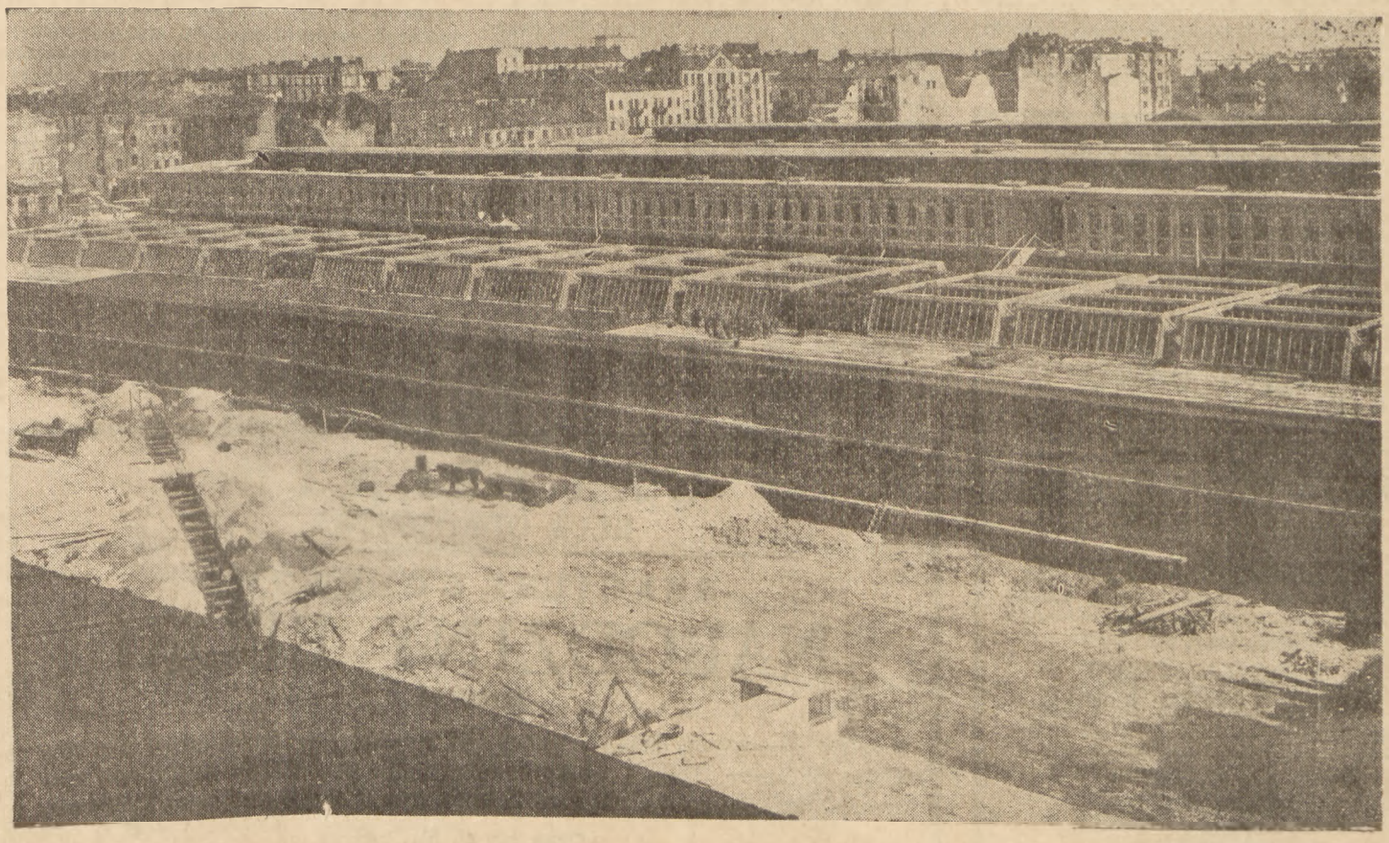

Hala maszyn

Foto API

MARIAN PODKOWIŃSKI

Kongres judaszów

Na iście chestertonowski pomysł wpadł szef amerykańskiego wywiadu (CIC) w Niemczech Zachodnich, kiedy polecił swemu wiernemu słudze, Melvynowi Lasky'emu, redaktorowi trockistowskiego miesięcznika „Der Monat", zająć się zwołaniem t.zw. Kongresu wolności kultury (Congress for Cultural Freedom) na przyczółku amerykańskiego imperializmu — w zachodnim Berlinie. Renegat Ernst Reuter, socjaldemokratyczny „nadburmistrz" zachodnich sektorów stolicy Niemiec, oraz agent CIC Lasky zajęli się więc ściąganiem do Berlina wszystkich istniejących na zachodzie szpiegów, agentów, dekadentów i zdrajców klasy robotniczej, judaszów pióra i palety, którzy za pieniądze Wall Street podjęli się „ideologicznego" przygotowania do wojny. Nie żałowano oczywiście pieniędzy, aby „kongres" schyłkowców i szaleńców, zgrupowanych dokoła finansowanego oficjalnie przez amerykańskie władze okupacyjne w Niemczech, miesięcznika „Der Monat" będącego obecnie również trybuną renegactwa oraz trockizmu pod patronatem Artura Koestlera i Ruth Fischer, wypadł możliwie uroczyście i z odpowiednią amerykańską pompą.

Zanim jednak przejdziemy do kilku fałszerstw, zrozumiałych w atmosferze wzajemnej nieufności i strachu, tak naturalnej na zjazdach agentów rozmaitych wywiadów, musimy — z konieczności! — zająć się osobą berlińskiego Cagliostra, totumfackiego amerykańskich władców w Trizonii, aby zrozumieć cały paradoks owego „kongresu obrońców kultury".

Kim jest ów Melvyn Lasky, oficjalny inicjator Kongresu, i na czym polegała jego swoista kariera?

Do roku 1947, Lasky był korespondentem trockistowskich pisemek, jak „New Leader" i „Partisan Review", w Niemczech i nie wiedział sam, co z sobą robić. Pisma te nie mogły oczywiście trzymać samodzielnego korespondenta w Berlinie. Ale Lasky miał nosa! Gdy zaczęły się psuć stosunki między okupantami w Niemczech, Lasky zrozumiał na czym to polega i skąd wieje wiatr. Zaczaił się więc na kongresie pisarzy niemieckich w r. 1947, aby pod pretekstem odczytania adresu od „postępowych" pisarzy Ameryki wkraść się na trybunę i wygłosić długą, starannie przygotowaną prowokacyjną mowę pod adresem pisarzy radzieckich. Mowa jego wywołała oczywiście wtedy konsternację na sali, ale zaraz o niej zapomniano. Ostatecznie Lasky był nikim (nazwano go wtedy mr. Nobody), sądzono raczej, że zwariowany dziennikarz amerykański pragnie reklamy. Obecny wówczas na kongresie Walentin Katajew powiedział: „Jestem zadowolony, że na własne oczy widziałem podżegacza wojennego."

Ale mr. Lasky miał w głowie dobrze opracowany plan. Mowę swą sam odbił na hektografie i rozesłał wszędzie, gdzie tylko istniała nadzieja druku. Nie omylił się. Znał mentalność amerykańską i zamerykanizowanych gazet niemieckich. Przynęta chwyciła i przez noc Lasky stał się „bohaterem" w o l n o ś c i k u l t u r y, „owym człowiekiem, który sam jeden miał odwagę stawić czoła komunistom w ich własnym domu" (tak pisał wtedy prawicowy dziennik „Der Tagesspiegel"). Oczywiście, że Lasky już wtedy miał potężnego sojusznika: był nim amerykański wywiad — CIC. On to postarał się „rozrobić" aferę Laskiego. Marny dziennikarz, którego nie bardzo nęciła wówczas perspektywa bezrobocia w USA, wypłynął nazajutrz po zajściu na kongresie pisarzy niemieckich w charakterze wysokiego urzędnika amerykańskiego zarządu wojskowego w Berlinie. Powierzono mu sektor kulturalny. Cel: dywersja w niemieckich kołach kulturalnych. Lasky zwołał swych dawnych kumpli z bankrutujących pisemek trockistowskich i otrzymawszy fundusze na wydawanie gadzinowego miesięcznika „Der Monat" porósł w piórka jako redaktor pisma, w którym zaczęli pisywać wszyscy fałszerze rzeczywistości, głośni renegaci i zdrajcy klasy robotniczej.

Oczywiście, że „Monat" jest pismem deficytowym ale cóż znaczy dla CIC kilka milionów strat, gdy chodzi o tak ważny sektor, jak sprawa kultury w „zimnej wojnie" ze Wschodem. Lasky stał się też wkrótce chorążym rozbijackiej polityki amerykańskiej w zachodnim Berlinie i jednym z głównych rycerzy krucjaty przeciwko Wschodowi. Wszystkie międzynarodowe szumowiny trockistowskie i faszystowskie, cały balast zhitleryzowanej kultury niemieckiej oraz banda kosmopolitów i ekstrawaganckich korsarzy pióra na utrzymaniu rozmaitych wywiadów i tajnej policji z wszystkich zakątków kuli ziemskiej — znalazła (wreszcie) oparcie w imprezie Laskiego i jego hojnych patronów z Wall Street. Zrozumiano bowiem, że trzeba poza materialną bronią produkowaną w stalowniach sygnatariuszy Paktu Atlantyckiego, mieć również w ręku kulturalne bomby atomowe w postaci renegatów socjalizmu, jak Ignazio Silone, dekadentów, jak Sartre, i tolerujących hitleryzm pacyfistów, jak stary Alfred Weber z Heidelbergu.

Tak to czarnoksiężnik zdrady i dywersji, mały grubasek o bródce paryskiego egzystencjalisty, słowem, Melvyn Lasky stał się sekretarzem generalnym a więc duszą i ciałem zjazdu judaszów kultury w Berlinie, który przybrał szumne i fałszywe miano „Kongresu wolności kultury".

Uprzytomnijmy sobie naprzód, dlaczego w ogóle kongres taki musiał zostać zwołany i dlaczego akurat w Berlinie.

Wymowa Kongresów Obrońców Pokoju była zbyt wielka i wrażenie ich zbyt silne na całym świecie, aby Wall Street mogła spokojnie przyglądać się bezczynności „swoich" pisarzy. Trzeba było na gwałt coś zrobić, aby przynajmniej na własnych terenach, w swych skolonizowanych krajach, zneutralizować wrażenie przemówień Alberta Einsteina, Ilji Erenburga, Al. Fadiejewa czy Tomasza Manna. 800 milionów zwolenników pokoju — to nie bagatela, nawet dla producentów bomb atomowych czy wodorowych. Strach oblatuje właścicieli stalowni i zbrojowni, kiedy pomyślą o jednolitym froncie ludów przeciwko wojnie i wyzyskowi. Postanowiono więc przynajmniej pokazać zmarshallizowanym krajom, że są przecież jeszcze pisarze i artyści, którzy mówią inaczej niż bojownicy o pokój. Szary człowiek paryskiej czy londyńskiej ulicy nie musi koniecznie znać biografii ani innych szczegółów z życia szpiegów i renegatów, jak Koestler, Reuter, Malraux czy Franz Borkenau. Mało kto czyta ich dzieła; ich nazwiska spopularyzowane zostały raczej przez skandale i zdradę.

Berlin stał się dzisiaj miastem dwóch światów, najdalej na wschód wysuniętym lotniskowcem amerykańskiego imperializmu. Tutaj należało więc pokazać zachodnio - berlińskim wyspiarzom pozostającym pod wrażeniem Zlotu Wolnej Młodzieży Niemieckiej, że nie są „samotni" w walce z komunizmem, a w obronie rewizjonizmu i szowinizmu, że podżegając do wojny przeciwko Polsce czy Związkowi Radzieckiemu, mają przecież przy swym boku reakcyjnych pisarzy Zachodu, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwo(sic!), dla „obrony kultury" samolotami zlatują się z całego świata, aby razem z czeladką Herr Reutera bronić swego świata i wiary. Jeśli na utrzymanie pozycji berlińskiej wydaje się miliardy, cóż znaczą miliony na zlot stu ludzi do Berlina?

Już na dwa miesiące przed imprezą pana Laskiego, całą prawicową prasę niemiecką obiegały wiadomości o uczestnikach kongresu. Kogóż tam nie wymieniano? Dawida Lilientnala (ten od bomby atomowej) i Victora Gollancza, Dos Passosa i Ralpha Bunche (Murzyn amerykański na służbie imperializmu, rozjemca w konflikcie palestyńskim), Andrè Gida i George Grosza, Uptona Sinclaira i Benedetta Croce, Juliana Huxley'a i Bertranda Russella, itd. itd. Oczywiście nikt z tych ludzi nie przyjechał. Nie, żeby byli tak przeciwni teoriom, które Lasky głosi, ale może niepo ręcznie im było przyjechać na kongres, który tak wyraźnie pachnie wywiadem.

Pan Lasky po prostu wysyłał tuzinami zaproszenia do wszystkich znanych pisarzy i artystów Zachodu. Kto nie odpowiedział, tego automatycznie wciągano na listę uczestników. Prasa drukowała a Lasky promieniał. Rozczarowanie (może tylko udane) przyszło w przeddzień kongresu, kiedy okazało się, że przyjechali właściwie tylko współpracownicy pisma „Der Monat" oraz ich przyjaciele o nieznanych jeszcze szerzej nazwiskach.

Już pobieżny rzut oka na listę uczestników „kongresu" wyjaśnia, że był on przede wszystkim imprezą już dawno skompromitowanych niemieckich emigrantów o rozmaitych obywatelstwach świata, których strzegło kilku trockistowskich nadzorców z ideologicznego sztabu „zimnej wojny", m. in. James Burnham czy Silone. Weźmy dla przykładu delegację brytyjską: mamy tu Arthura Koestlera (węgierski emigrant wychowany w Berlinie), Petera Mendelssohna i jego żonę Hildę Spiel (oboje pracowali w hamburskim piśmie „Die Welt"), Richarda Löwenthala (schumacherowca, który pracuje dla „Observera"), Sebastiana Haffnera (niemiecki krytyk również z tego pisma) oraz takich Anglików, jak Julian Amery z rodziny, która wydała jednego z dwóch brytyjskich zdrajców stanu pracujących w czasie wojny w radio Goebbelsa*). I pomyśleć, że grupa tych dawnych współpracowników niemieckiej sekcji w Intelligence Service miała być przeciwwagą takich ludzi, jak Bernard Shaw, Hewlett Johnson czy profesorowie Blackett i Bernall!

Nie lepiej wyglądała delegacja francuska. Przewodził jej oczywiście szef „ludzi dobrej woli" Jules Romains, gość paryskich salonów hitlerowskiego ambasadora Abetza, dziś orędownik Pétaina. Poza tym, grupa dziennikarzy, którzy raczej z ciekawości niż z rozsądku dali się wciągnąć Laskiemu na listę podżegaczy wojennych. To była delegacja Francji!

Delegacja zachodnich Niemiec było po prostu śmieszna.

Komunożerca Kogon, zdziadziały ekonomista Weber, redaktor zamkniętego już miesięcznika młodzieżowego „Horizont" Birkenfeld, nie mniej pechowy wydawca miesięcznika „Die Wandlung" Dolf Sternberger (Carl Zuckmayer nie przyjechał), Hermann Kesten, który chełpi się, że jest już — Gott sei Dank! — na liście amerykańskiej oraz jeszcze kilka bladych cieni hitlerowskiej przeszłości — oto grupa ludzi, która miała przeważyć szalę autorytetu, jakim cieszą się w narodzie niemieckim tacy pisarze, jak Mann, Anna Seghers, Arnold Zweig, Bert Brecht, Lion Feuchtwanger czy nawet Hermann Hesse! Tak sobie, w każdym razie, „sukces" imprezy wyobrażał nie tylko „mały Moryc" Lasky, ale i dygnitarze z pałacu komisarza McCloy'a.

Delegacja amerykańska pełna była emigrantów niemieckich i „teoretyków" trockizmu, którym przewodził „filozof" (przemawiający językiem kupców z Manhattanu) Sydney Hook. Przysłano oczywiście dwóch pisarzy murzyńskich, którzy mieli w oczach Niemców zrehabilitować katów z nad Mississippi. To co opowiadał na kongresie publicysta murzyński z Pittsburgha, George Schuyler, oraz mulat Max Yergan, zakrawało oczywiście na kpiny. Zdaniem tych dwóch zdrajców ludności murzyńskiej, nie ma na świecie większego raju dla kolorowych obywateli USA — jak właśnie Południe Stanów Zjednoczonych. Ich pełne patosu słowa obrony kapitalistycznej Ameryki wywoływały nawet wśród niektórych uczestników zjazdu ironiczne uwagi, a śmiechy na sali wśród publiczności.

Rzecz jasna, obok dyrygowanych przez Waszyngton trockistów, obok neo- i kryptohitlerowskich szowinistów i rewizjonistów niemieckich nie mogło zabraknąć polskich zdrajców emigracyjnych w osobach pp. Czapskiego i Giedroycia. Byli tam na swoim miejscu.

Dyskusja trwała trzy dni i przyniosła kilkaset tysięcy słów stenogramu, w których na próżno szukalibyśmy czegokolwiek o prawdziwym pokoju. Nie po to zresztą panowie ci przyjechali do Berlina. Mielono tysiące słów o „wolności" kultury w ten sam sposób, w jaki podżegacze wojenni wołają na całe gardło: „Chcemy pokoju." Nie troska o kulturę i wolność przygnała tych obieżyświatów do Berlina. Kongres pana Laskiego reprezentował zgoła co innego: sztab generalny duchowych pudżegaczy wojennych.

Jakże inaczej możemy zrozumieć słowa amerykańskiego „filozofa" Jamesa Burnhama, który w swym programowym i słabo oklaskiwanym przemówieniu — „Retoryka i pokój" — powiedział dosłownie:

„Muszę zaznaczyć, aby być całkiem uczciwym, że pod żadnym warunkiem nie jestem przeciwnikiem bomby atomowej. Jestem natomiast przeciwko tym bombom, które są obecnie na składach Sybiru czy Kaukazu... ale jestem — wczoraj, i dzisiaj, i zawsze — za bombami, które są produkowane w Los Alamos, Hanford i w Oak Ridge i przechowywane w skałach amerykańskiej pustyni."

Kiedy francuski prawicowy socjalista, Andrè Philip, w obawie przed zdemaskowaniem całej imprezy sprzeciwił się tak szczeremu sformułowaniu, w sukurs Burnhamowi ruszyła inna gwiazda kongresu, trockistowski prowokator Artur Koestler, wołając z oburzeniem: „Przemawia pan, jak demagog, Philip. Niech pan nie zapomina, że dzięki amerykańskim bombom atomowym Europa w ostatnich czterech latach mogła żyć w pokoju i wolności". W takiej atmosferze toczyły się obrady na berlińskim „kongresie wolności kultury."

I może najbardziej bezpośrednią odpowiedzią na tę imprezę trockistowskich prowokatorów i agentów amerykańskiego wywiadu był prawie 400-tysięczny protest robotników Berlina w Lustgartenie przeciw inwazji amerykańskiej na Korei, któremu pan Lasky wraz z paczką renegatów usiłował przeciwstawić 15-tysięczny wiec niemieckich szowinistów i rewizjonistów pod hasłem „obrony kultury przed Wschodem."

Bo nie ma neutralnych w walce o pokój.

Marian Podkowiński

Berlin, w lipcu 1950

*) Pamiętny lord Hau Hau (bo szczekał na Anglików z Berlina).

„Czytelnik"

WACŁAW GĄSIOROWSKI
CZARNY GENERAŁ
str. 415 zł 400.—

ANTONI MARIANOWICZ
NA WPÓŁ DRWIĄCO
str. 106 zł 200.—

MIKOŁAJ LESKOW
OPOWIEŚĆ O TULSKIM MAŃKUCIE
BALWIERZ-ARTYSTA
str. 107 zł 120.—

Biblioteka Stuzłotowa
MULK RAJ ANAND
DWA LIŚCIE I PĄK
str. 319 zł 100.—

Biblioteka w prenumeracie
JORGE AMADO
JUBIABA
str. 350 zł 370.—

»CZYTELNIK«
KLUB ODRODZENIA

SERGIUSZ GOŁUBOW
NARODZINY EPOKI
POWIEŚĆ

Powieść przedstawia obraz zapadłej wsi rosyjskiej w latach przed pierwszą wojną światową, życie i walkę rewolucyjnego proletariatu miejskiego, znaczenie Jasnej Polany siedziby Lwa Tołstoja oraz galerię postaci carskiego dworu.

Cena 650 zł. Str. 612

Foto Nowicki — Kraków

„Faryzeusze i grzesznik" Małgorzaty Wolin i Jerzego Pomianowskiego w Starym Teatrze w Krakowie. Reżyseria Romana Niewiarowicza, dekoracje Stanisława Tenerowicza, współpraca dramaturgiczna Zygmunta Leśnodorskiego. Na zdjęciu: Wiktoria — Alicja Kamieńska, Diana — Ewa Stojowska, Wachmistrz żandarmerii — Marian Jastrzębski, Leon Clerc — Jerzy Fitio.

JERZY ZAGÓRSKI

Znowu „Faryzeusze i grzesznik"

„Faryzeusze i grzesznik", sztuka spółki autorskiej Małgorzaty Wolin i Jerzego Pomianowskiego, grana obecnie w Starym Teatrze w Krakowie, po pomyślnie zdanym egzaminie na trzech scenach ma wszelkie szanse aby wejść do stałego repertuaru teatrów polskich.

Dziś, gdy pretekst tematyczny sztuki, słynna afera, kiedy to wykryto fałszowanie obrazów Vermeera van Delft przez współczesnego malarza holenderskiego Van Meegerena, co poruszyło parę lat temu prasę całego świata, odchodzi już w półcień nieaktualności i komedia traci cechy komedii sensacyjnej — wysuwa się na pierwszy plan konterfekt historyczny Europy Zachodniej w latach, które zaczęły się z chwilą strzaskania Bramy Branderburskiej, a trwają do dzisiaj.

Kiedy półtora roku temu widziałem tę sztukę w Warszawie, byłem nastawiony na śledzenie wątku dramatycznego, dowcipów, dialogu, a także wykresu owej ideowej drogi, jaką każe bohaterowi sztuki przebiec autor.

Teraz, oglądając sztukę już z pewnej, jeżeli nie perspektywy to perspektywki, podziwiałem, jak trafnie zostały rozdane postaciom sztuki głosy, które składają się na chór obecnej zachodnio-europejskiej „society". Tak więc bohater sztuki — malarz — jest dość często spotykanym dotąd, zwłaszcza wśród dojrzałego pokolenia, którego światopogląd kształtował się w latach 30-ych — k a t a s t r o f i s t ą. Autorzy oceniają go surowo. Ale nie potępiają bez reszty. Ukazują jego ewolucję w świetle warunków, po marksistowsku. Katastrofizm, jak każdy pesymistyczny system myślowy, może prowadzić do nihilizmu, ale nie będąc systemem myślowym konsekwentnym, sam przez się jeszcze nihilizmu nie determinuje. Mamy w naszych czasach szereg przykładów, jak dawni katastrofiści, przekonawszy się, że istnieją na ziemi siły, które katastrofę mogą odsunąć, przestają być katastrofistami i pesymistami. Takim skruszonym pesymistą jest malarz Pomianowskiego i Wolin. Nastąpił korzystny przełom w jego duszy. Doznał szoku moralnego, gdy go oskarżono o kolaborację. Wtedy ten „aprenuledelużysta" (od „après nous la deluge"), gotów poprzednio, jak to się mówi, „kichać" na oskarżenia o fałszerstwo i kradzież, opamiętuje się, otwiera oczy na zagadnienia moralne, schodzi z drogi indeferentyzmu moralnego, co więcej, zaczyna się interesować sprawami społecznymi i znajduje w społeczeństwie siły, które oprą się krzywdzie i wojnie imperialistycznej ,upersonifikowane w sztuce przez postać zecera Marka.

Nie ulegnie podobnej przemianie inny przedstawiciel różnych nurtów, które składają się na obraz myśli zachodniej— Leon Clerc, sartrysta, konsekwentny nihilista zachodni, egzystencjalista. Egzystencjalizm bowiem w odróżnieniu od niekonsekwentnego, odruchowego raczej katastrofizmu, jest systemem filozoficznym konsekwentnym i Clerc znajdzie w tym systemie uzasadnienie moralne dla każdego świństwa.

Inne osoby ciągną również bardzo określone głosy w chórze. Jest więc i antyhumanistyczna tak zwana „współczesna dziewczyna" — dla której nic nie istnieje poza sportem, pieniądzem i erotyką. Jest gość zza Atlantyku — niezgrabny amerykański bydlak. Do tego sielskiego, a ściślej willowo-podmiejskiego chóru wkradły się jednak „zgrzyty". Dochodzi głos od strony mas. Wszedł na scenę Marek, zecer zmobilizowany na brudną wojnę w koloniach, który nie chcąc służyć celom kapitalistycznym nie tylko ucieka z burżuazyjnego wojska, ale bierze udział w ruchu oporu przeciw nowej zbrodni.

Te głosy od strony mas dotarły do rodziny malarza i na tę już nutę śpiewa jego młodsza córka, i wreszcie, gdy kurtyna zapada, jesteśmy pewni, że katastrofista nie jest już katastrofistą, bo dojrzał siły, które katastrofę mogą odwrócić.

Wystawienie sztuki w Starym Teatrze w Krakowie z punktu widzenia techniczno - artystycznego należy uważać za staranne. Reżyseria Niewiarowicza poszła po zupełnie innej linii niż w swoim czasie w Warszawie reżyseria Maślińskiego. Mianowicie Niewiarowicz przejrzyściej podał wątek anegdotyczny i klarowniej podkreślił wezeł dramatyczny, tak że widz otrzymał wrażenie mniej rozproszonego wątku. Natomiast Maśliński bez porównania dokładniej wypunktował akcenty polityczne sztuki i mniej uronił z jej dowcipu, mimo że miał do dyspozycji wyraźnie słabszą obsadę aktorską, niż reżyser teatru krakowskiego.

Gra aktorów — pominąwszy to nie zawsze pełne wydobycie dowcipu i niewypunktowanie należyte przewodu ideowego — bardzo piękna. Alfred Szymański daje jedną z piękniejszych kreacji ostatnio widzianych w Krakowie, choć jego gra nie ma dość hermetycznego związku z tekstem. W jego ujęciu malarz-katastrofista jest trochę cynikiem, trochę cyganem z fantazją, o szlachetnych odruchach i o zamaszystym geście, podczas gdy w tekście jest to znacznie chłodniejszy i bardziej suchy malarz-intelektualista. Ale owa korekta czy przestawienie postaci i tak o ileż było bardziej dopuszczalne, niż podszycie analogicznej roli w Warszawie rysem hochstaplerstwa.

Marian Jastrzębski jest wspaniały jako Wachmistrz Żandarmerii i w ruchach, i w charakteryzacji, i w sposobie mówienia. Swoją grą z pogranicza farsy dobrze podkreśla, że „komedia" Wolin i Pomianowskiego nie jest komedią klasyczną, lecz należy do tego gatunku, nieco lżejszego, który, nie będąc jeszcze farsą, komedią właściwie już nie jest, a najlepiej zasługiwałby na miano „lekkiej komedii politycznej". W tym właśnie gatunku czy „wadze" mamy ostatnio do zanotowania kilka dzieł, co wskazywałoby na żywotność tej odmiany. Należą do niej: „Nowy Świętoszek" Dygata i Kotta, nie grana jeszcze sztuka Natalii Rolleczek „Mój zięć marksista" i również jeszcze nie grane „Nożyce się odezwą" tegoż Pomianowskiego, który jest współautorem „Faryzeuszy i grzesznika."

Włodzimierz Macherski w postaci Dyrektora daje ton przezabawnej powagi, którą podkreśla wyraźnie, że ta sztuka nie jest jednak farsą, lecz tylko lżejszą komedią. Wiktor Sadecki jako Donald Duck wydobywa w najdrobniejszych niuansach komizm postaci Amerykanina. Gest, załamywanie się głosu, podciąganie mankietu, żywa mimika, żucie gumy, przylepianie jej pod blatem stołu w chwili pocałunku, odlepianie i branie do ust z powrotem, słusznie wywołują brawa dla tego młodego aktora i słusznie mu się należą.

Alicja Kamińska i Marek Wojciechowski — jako Wiktoria i jej narzeczony, zecer Marek — mieli trudne zadanie nakreślenia postaci pozytywnych. Mając najmniej wdzięczne teksty, a stojąc przed obowiązkiem skupienia sympatii widzów po swej stronie, mieli też najtrudniejsze aktorsko zadanie, z którego wywiązywali się o tyle właściwie, że to naczelne zadanie mobilizacji sympatii po swej stronie rozwiązali całkowicie, tworząc przez ciepłą grę związek między widownią i sceną. Spotykałem się ze zdaniem, że Wojciechowski nie dał postaci zecera, lecz postać zbyt delikatnego chłopca z „inteligencji". Takie zdania mogą się wylęgnąć tylko w na wskroś burżuazyjnej wyobraźni. Próby narzucenia robotnikowi na scenie konwencjonalnego prostactwa są śmieszne mieszczańskim uzurpowaniem sobie jakiejś różności większej niż jest w istocie. Bardzo jesteśmy wdzięczni Wojciechowskiemu, że oparł się tej pokusie i dał postać żywą, kontaktującą się z widownią. Grający z nim na zmianę Andrzej Kruczyński dał postać bardziej stonowaną, chłodną, ale również interesującą.

Jerzy Fitio jako Leon Clerc nie od razu chwycił właściwy trop. I jeśli miejscowy krytyk wyraził się o nim, że wywiązał się z roli w 60 proc., to dlatego, że relacjonował grę na premierze, nie obserwując zapewne poprawek do gry, które w następnych wieczorach wprowadzał ten aktor, zacierając błędny w tej roli rys hochstaplera, a wydobywając właściwszy rysunek sartrysty.

Jadwiga Dąbrowska jako żona malarza była ofiarna niewolnicą tekstu, który każe jej być zbyt wyraźnie cieniem i tłem dla męża i nie pozwalać sobie na efekciarstwo.

Bolesław Sarmatowski, specjalizujący się ostatnio w epizodach, tu daje postać przezabawną, dyskretnie komiczną, z pozorem wielkiej naukowej powagi. Towarzyszą mu w epizodzie na zmianę Jan Norwid i Stanisław Romanek.

Stojowska jako czarny charakter kobiecy dała trafnie sylwetę ultra-mieszczańską. Nasunęły mi się tu żywe analogie z grą Ciechomskiej w Nowym Świętoszku we Wrocławiu. Analogie te nie są przypadkowe. Podkreślają pokrewieństwo artystyczne tych dwu sztuk, właśnie lekkich komedii politycznych, w których trudno obyć się bez takich postaci.

Reasumując, należy dać aplauz rzemiosłu artystycznemu wykonawców i mieć pewien żal, że strona ideowa sztuki nie została w pełni „wypunktowana".

Jerzy Zagórski

JERZY PYTLAKOWSKI

Narodziny świadomości klasowej

Ostatnio wydana powieść Jorge Amado „Jubiaba“ *) jest historią młodego Murzyna brazylijskiego, Antonio Balduino, którego losy nierozdzielnie związane są z dziejami jego środowiska.

Środowiskiem tym jest jedna z najbardziej upośledzonych warstw społecznych na świecie: brazylijski proletariat murzyński. Amado opisuje realistycznie jego życie i obyczaje oraz drogę, którą nieuchronnie musi iść, jeśli pragnie uniknąć zagłady.

Kompozycja powieści nawiązuje do tradycji ludowej pieśni murzyńskiej, tzw. ABC. Podobnie jak w owych wierszowanych gawędach w „Jubiabie“ występuje bohater, którego odpowiednio wyselekcjonowane czyny układają się w epicką opowieść, posiadającą sens społeczny i historyczny. Amado rozbudowuje fabułę i charakteryzuje środowisko i bohaterów za pomocą mocno choć zwięźle podrysowanych scen. Klimat południa: nędzy i, mimo wszystko, typowej dla tamtejszych ludzi beztroski, oddany jest z dużą dbałością o zachowanie szczegółów. Świat zabobonu, odziedziczonej, noszonej niemal we krwi bierności, a wreszcie zbrodni jako konsekwencji namiętnych odruchów, zbrodni zrodzonej przez nędzne życie — posiada w „Jubiabie“ wartość oskarżycielskiego dokumentu.

Kanwa fabularna, na której autor opiera swą powieść jest niezmiernie prosta. Antonio Balduino przechodzi wraz ze swymi rówieśnikami koleje, które mimo całej egzotyczności i barwności wydają się typowymi. Jest bokserem, włóczęgą, awanturnikiem, cynkowcem — a stale i wciąż nędzarzem. Jego przyjaciele wiodą podobne życie: na własny rachunek, choć obok siebie, znajdując łatwo jedynie śmierć i więzienie. Z nieporównanym znawstwem Amado oddaje psychikę Murzynów: ich wrodzoną prawość, która urabiana prze krzywdę i ucisk zamienia się w wolę ślepej walki.

Tytułowa postać miejscowego patriarchy, znachora Jubiaby, przewija się poprzez karty całej książki. Amado, choć wspomina również o bogatych wyzyskiwaczach-Murzynach, opisuje tylko środowisko czarnych nędzarzy. Jubiaba utrzymuje się wskutek ciemnoty rzeszy murzyńskiej, odprawiając swe gusła. Wierzenia Murzynów są świadectwem ich głębokiego zacofania: są swoistą śmieszną i wzruszającą mieszaniną zabobonu, uproszczonej dogmatyki chrześcijańskiej i fetyszyzmu.

Cała ta rzesza ludzi tkwi jeszcze w epoce niewolnictwa. Wciąż świeże są dzieje tego okresu, powtarzane w pieśni i ustnej relacji. Wrogi świat białych panów czyni wszystko, by tęsknotę za ojczystą Afryką, za wymarzoną ojczyzną Murzynów, wciąż odświeżać.

Życie Antonia i jego rówieśników oglądane przez pryzmat ucisku społecznego staje się zrozumiałe: praca w tych warunkach jest nieszczęściem, a przebiegłość i siła mięśni koniecznością. Murzyn walczy przeciw całemu, wrogiemu światu.

„Ziemia nasza zła... Ziemia kuli i śmierci...“

Tak przedstawia się świat kapitalistyczny oczom pariasa-murzyna. Narodowa pieśń, obrzędowy taniec, namiętność do kobiety, haszysz alkoholu, dającego zapomnienie — oto jedyne dobro, które parias-murzyn zdobywa dla siebie. Luksus małżeństwa jest dla niego najczęściej nieosiągalny. Zwykła kolej murzyńskiej miłości, to zemsta na niewiernej kochance, zdradzającej z głodu. Temperatura południowego kraju i temperatura uczuć są równie wysokie. Nic tedy dziwnego, że wszelkie konflikty są rozwiązywane w sposób bezapelacyjny, a najlepszym środkiem do ich rozwiązania jest umiejętnie rzucony nóż...

Amado pisał „Jubiabę“ w latach 1934 i 1935 i pisał ją o tych latach, w których napór hitleryzmu w Brazylii, dawał się silnie odczuć. Amado, już w owych tragicznych czasach potrafił ukazać perspektywy na przyszłość rzeszy murzyńskiej. Historia zwycięskiego strajku, opisanego w ostatniej części książki ukazuje właśnie te perspektywy.

Autor doskonale oddał entuzjazm robotników, terror policyjny, rozbijackie metody ugodowców, wreszcie konflikt „uczciwego“ posiadacza, z jego klasą. Antonio bierze czynny udział w strajku i wreszcie odnajduje swą drogę. Dotychczas miotał się sam, błądząc, walcząc z wrogiem, którego nie potrafił określić. W białych i czarnych robotnikach Balduino znalazł towarzyszy walki i znalazł jej cel.

Po skończonym strajku Antonio odwiedza Jubiabę.

„Teraz spogląda na czarownika jak równy na równego. Oznajmia mu, że odkrył to, o czym wspominają pieśni ABC, że znalazł w życiu właściwą drogę. Wyschło oko litości bogaczy. Ale oni — biedacy — mogą w każdej chwili, gdy tylko zechcą, zniszczyć oko złości bogaczy“.

Jeszcze pełniej przemiany zaszłe w bohaterze książki precyzuje autor w końcowym ustępie powieści.

„Kiedyś — myśli Antonio — powędruję... muszę wywędrować w inne strony świata“.

„Kiedyś wsiądzie na statek, może na parowiec holenderski, taki jak ten, którego światła lśnią teraz w porcie. Uda się na szeroką drogę oceanu. Strajk uratował murzyna. Balduino potrafi teraz walczyć na nowo. Strajk stał się jego bohaterskim ABC“.

Lektura „Jubiaby“ czytelnikowi europejskiemu ułatwia w dużym stopniu zrozumienie tych przemian, jakie zachodzą w ludach kolonialnych. Szczególnie dzisiaj, gdy emancypacja narodów azjatyckich, a częściowo także afrykańskich przybliża się coraz szybciej „Jubiaba“, stanowiąc artystyczny komentarz do obszernych i stosunkowo licznych wypowiedzi publicystycznych o tym zagadnieniu, odgrywa także kształcącą, bardzo pozytywną rolę. Poprzez wierne oddanie i przekazanie niemal w całości obrazu narodowego i klasowego środowiska, autor ukazuje jego perspektywy na przyszłość i internacjonalne powiązania.

— „Murzyn jest jeszcze niewolnikiem, tak samo jak biały. Wszyscy biedacy są niewolnikami. Niewolnictwo jeszcze się nie skończyło“ — te słowa wypowiedziane przez białego robotnika portowego rysują wyraźnie perspektywy wspólnego lepszego jutra poprzez wspólną walkę czarnych i białych proletariuszy, żyjących w kapitalistycznym ucisku.

Zamierzenia autora, ambitne i trudne, zostały zrealizowane szczęśliwie, dzięki znajomości środowiska i wyrobieniu politycznemu. Dziś wprawdzie, gdy spoglądamy na „Jubiabę“, uzbrojeni w najnowsze doświadczenia, potrafimy odnaleźć pewne błędy w dziele pisanym 15 lat temu. Niekiedy fabuła i rysunek obyczajowy zdaje się przytłaczać pierwszoplanowy przecież motyw walki klasowej. Wierne oddanie klimatu zwyrodniałych skrzywień ludzkich może wywołać zarzut naturalizmu. Jednakże jeśli się weźmie pod uwagę czas i miejsce powstania dzieła, zamiar autora przemówienia do brazylijskich czytelników językiem trafnym i zrozumiałym — zarzut ten należy uznać za bezprzedmiotowy. Należy jedynie stwierdzić, że Amado osiąga wyższą doskonałość w kreśleniu opisów przyrody, przeżyć osobistych ludzi i ich zwyczajów i wierzeń, aniżeli w samym ujęciu akcji strajkowej. Jednakże wszystkie motywy powieści łączą się w całość, otrzymujemy jeden zwarty obraz.

„Jubiaba“ jest dzisiaj książką specjalnie aktualną. Jest książką wartościową pod każdym względem: daje wzruszenia artystyczne, obraz epoki, kraju i ludzi, ukazuje drogi rozwojowe uciskanych ludów, wzmacnia solidarność wszystkich walczących o postępową przyszłość ludzkości.

Polskie wydanie „Jubiaby“ ukazało się w starannym przekładzie Małgorzaty Hołyńskiej i Eugeniusza Grudy.

Jerzy Pytlakowski

*) Jorge Amado, „Jubiaba“, powieść, str. 350, cena 370 zł, Wydawnictwo „Czytelnik“, Biblioteka w prenumeracie, autoryzowany przekład Małgorzaty Hołyńskiej i Eugeniusza Grudy.

ZYGMUNT GREŃ

Rewolucjonista i pisarz

„W dziejach włoskiego ruchu robotniczego, w dziejach kultury i myśli włoskiej Antonio Gramsci jest pierwszym marksistą, prawdziwym, integralnym, konsekwentnym... Jemu włoska klasa robotnicza zawdzięcza stworzenie swej partii, Partii Komunistycznej, nie jako sekty pretensjonalnych doktrynerów, ale jako części, jako przedniej straży klasy robotniczej, jako stronnictwa masowego, związanego z całą klasą, zdolnego odczuć i wyrazić jej potrzeby, zdolnego pokierować nią w najbardziej złożonych sytuacjach politycznych...“ — Tak pisze o roli wielkiego włoskiego rewolucjonisty jego najbliższy towarzysz i przyjaciel Palmiro Togliatti. I pisze słusznie. Gramsci bowiem był człowiekiem, który swą postawę nieustraszonego bojownika o wyzwolenie społeczne dokumentował nie tylko słowem i piórem, lecz także życiem swoim i śmiercią. Nie był on „intelektualistą“ w znaczeniu, jakie potocznie nadawano temu słowu w okresie międzywojennego dwudziestolecia. Był przede wszystkim człowiekiem partii i to określało kierunek jego pracy intelektualnej.

Urodził się w roku 1891 w rodzinie sardyńskiego chłopa. Od najmłodszych lat garnął się chętnie do książki i nauki, później zaś w dwudziestym roku życia, mimo ciężkich warunków materialnych rodziny, udało mu się wyjechać na studia filologiczne do Turynu. Tam zetknął się z ruchem robotniczym i zdecydowanie stanął na jego lewym skrzydle. Był kolejno redaktorem dziennika partyjnego („L'Ordine Nuovo“), sekretarzem sekcji Partii Socjalistycznej i wreszcie jednym z twórców Włoskiej Partii Komunistycznej. W latach 1922 — 23 przebywa w ZSRR, a po powrocie do kraju wzbogacony wieloma doświadczeniami kontynuuje pracę polityczną jako poseł i jako publicysta. W roku 1926 zostaje aresztowany i zesłany na wyspę Ustykę, a po dwóch latach znów skazany za swą postępową działalność przez faszystowski Trybunał Specjalny na dwadzieścia lat więzienia. Po dziesięciu latach pobytu w domu karnym w Turi zostaje Gramsci zwolniony na mocy różnych amnestii, ale schorowany i wycieńczony umiera w kilka dni później, 27-go kwietnia 1937 roku.

Tę parę słów biografii wystarcza, by przedstawić trudną drogę życia Gramsci'ego, drogę, której kres stanowiło dziesięć lat przymusowego odcięcia od życia, dziesięć lat przedsionka śmierci. Najlepsze dni, dni najpiękniejszego rozkwitu umysłowego przygniecione zostały surowym regulaminem więziennym, który powoli, systematycznie wyniszczał człowieka zarówno fizycznie jak intelektualnie. Ale Gramsci, mimo że gasnący fizycznie, nie pozwolił przełamać i zdusić swego bogatego i wszechstronnego życia umysłowego. W trudnych warunkach więziennych czytał, snuł plany wielkich prac, ciągnął na marginesach książek niekończące się dyskusje z autorami, robił notatki, które zebrane wypełnią około sześciu tomów jego dzieł. (Nawiasem mówiąc, należałoby u nas jak najprędzej wydać chociażby jednotomowy ich wybór). Najlepszą relacją o tej jego niebywałej żywotności umysłowej są wydane w dziesięć lat po śmierci autora: „Listy z więzienia“ *).

Tytuł określa charakter książki: „Listy z więzienia“ — a więc jeszcze jeden autentyk, jeszcze jeden dokument faszystowskiego terroru? — Na to pytanie trzeba odpowiedzieć i tak i nie równocześnie. Bo „Listy z więzienia“ są niewątpliwie dokumentem, ale są również jeszcze czymś więcej. Są dziełem literackim.

Autentyczna epistolografia — nie, jak listy Słowackiego, pisane ze świadomym zamierzeniem artystycznym, nie, jak „Listy spod szubienicy“ Juliusza Fuczika, adresowana do czytelników, do potomnych — może mieć dwojaki charakter. Albo opowiada o pewnych faktach i zdarzeniach, stanowiąc swego rodzaju dokument, to, z czego w XV w. powstała gazeta, albo mówi również o człowieku, o jego psychicznych doświadczeniach. I jeśli mówi to w sposób godny uwagi, staje się dziełem literackim. Ten właśnie przypadek zachodzi w listach Gramsci'ego. Każdy z nich jest opowieścią o człowieku, opowieścią tym bardziej dramatyczną, że skrępowaną czujnym okiem i ołówkiem cenzora. Gramsci odcięty od świata, skąd dochodziły go nieliczne tylko wieści w postaci gazet i korespondencji z rodziną, musiał stworzyć sobie w więzieniu nowe życie i wypełnić je nową treścią. I o tym właśnie opowiada w listach. Zmuszony do korespondencji w godzinach i dniach na to przeznaczonych, pisał siłą rzeczy dość bezładnie wszystko, co chciał powiedzieć i co mu się właśnie pod pióro cisnęło, ale to dodaje tylko jego listom jakiegoś specyficznego uroku, okrasza je nagłą, niespodziewaną, a celną metaforą. Aby zmylić czujność cenzora, ogranicza się nieraz autor do paraboli bardzo odległych, do napomknień tylko, które czytelnik może dalej snuć i rozwijać, dopowiadając sobie ich cel i sens istotny.

Dziwił się kiedyś prof. Wilhelm Bruchmalski, że „Mimo bogactwa wszelkiego rodzaju wskazówek do pisania listów, w ciągu XIX w. i dziś pisze się listy w sposób naturalny, na wzór rozmowy, czego dowodem nawet korespondencja pisarzy tej miary, jak Mickiewicz, Brodziński, Hoffmanowa, Śniadeccy, Kraszewski, Mochnacki i wielu innych. Tacy zaś jak Słowacki, Krasiński, Bohdan Zaleski i in., którzy świadomie ze swych listów tworzą dzieła literackie, również nie uciekają się po wskazówki do jakiejkolwiek teorii epistolograficznej“. I wymienia po tym sędziwy historyk literatury cały szereg nędznych pisarzy, autorów takich podręczników jak: „Sekretarz i adwokat domowy“, „Wskazówki listowe dla dzieci“, „Przewodnik do pisania listów miłosnych“. Gramsci na pewno nie korzystał z żadnego z tych ani tym podobnych podręczników. I dlatego — śmiem twierdzić — listy jego nie straciły dotychczas nic ze swej świeżości i atrakcyjności, i dlatego znalazły się na jednej z piękniejszych kart postępowej literatury włoskiej.

Powiedzieliśmy, że „Listy z więzienia“ są najpełniejszą relacją o niebywałej żywotności umysłowej ich autora. Warto w tym miejscu przytoczyć fragment listu Silvia Spavenia, więzionego w r. 1848 posła do parlamentu neapolitańskiego, a potem jednego z przywódców stronnictwa liberalnego: „Czy mniemacie, że dla człowieka takiego jak ja, chlubiącego się, że ma serce gorące i bardzo młode, podobny brak (listów i wiadomości — przyp. Z.G.) nie musi stać się niesłychanie bolesny? Nie myślę, bym obecnie mniej niż zawsze był kochany przez moją rodzinę; ale niedola zwykła wywoływać dwa skutki: często pozwala wygasnąć wszelkim uczuciom w stosunku do nieszczęśliwych i nie mniej często gasi w nieszczęśliwych jakiekolwiek uczucia do wszystkich. Nie tyle lękam się pierwszego z tych skutków u Was, ile drugiego we mnie: gdyż, w odcięciu od wszelkich stosunków z ludźmi i związków uczuciowych, głębokie zniechęcenie, długie więzienie, podejrzenie, że wszyscy mnie zapomnieli — budzą we mnie gorycz i zwolna wyjaławiają mi serce“. Ten stan uczuć i umysłu, pominąwszy język zgodny z sentymentalnymi skłonnościami epoki, wiernie odzwierciedla — jak stwierdza Gramsci — jego własną sytuację psychiczną. Nic dziwnego więc, że w listach usilnie domaga się jak najczęstszych i jak najobszerniejszych wiadomości o życiu, o rodzinie, o synach. Te wymagania i inne najdrobniejsze nawet z wielkim samozaparciem spełniała siostra żony, przebywająca stale w Rzymie — Tatiana Schucht. (Żona Julia wraz z synami mieszkała w Rosji). I do niej kierował Gramsci większość swoich listów.

O czym pisał? — Dokładnie o wszystkim. Wspominał dyskusję, jaka toczyła się we Włoszech, gdy przekład „Germanii“ Tacyta powierzono... Marinetti'emu i opisywał sposób, w jaki chłopi sardyńscy przyrządzają potrawy... z żab. Ale to tylko żartobliwe zestawienie. W listach do Delia i Juliana często można natrafić na anegdotki i opowieści, które ojciec, odgrzebując w pamięci, przepisywał synom, aby chociaż w ten sposób, pośredni i okrężny wpływać na ich wychowanie; oczywiście nie brak również uwag poważnych i wnikliwych w ocenie postępów w nauce, które mógł obserwować chociażby... z ortografii synowskich listów. Dzielił się z nimi uwagami o pisarzach: klasykach i współczesnych autorach poczytnych książek, aż dziw brał, skąd ten człowiek czerpał tyle wiadomości i jak sprawnie funkcjonowała jego pamięć. Nie przerywał również w trudnych warunkach więziennych ani studiów językowych ani historycznych i filozoficznych. Tłumaczył nowele i opowiadania, napisał, streszczoną w jednym z listów ciekawą i oryginalną rozprawkę o interpretacji X pieśni „Piekła“ Dantego. W następnych listach opowiedział Tatianie o szkicach do studium o światowej roli intelektualistów włoskich w ciągu wieków, wreszcie o Macchiavellim jako pierwszym jakobinie włoskim, o literaturze ludowej i o socjologicznej interpretacji... „Kwiatków św. Franciszka“. — Zestawienia mówią tutaj same za siebie.

Oczywiście, że przy tak rozległej skali zainteresowań i tematów musiały zdarzać się potknięcia i pomyłki. Np. w jednym z listów, w którym Gramsci polemizował ze stanowiskiem Crocego na temat: czy może istnieć doktryna estetyczna materializmu historycznego, pisze on: „Jestem zdania, że Croce uciekł się tu (w ocenie roli i charakteru materializmu historycznego — przyp. Z. G.) do chwytu polemicznego bardzo przejrzystego i że sąd jego jest nie tyle sądem historyczno-filozoficznym, ile po prostu aktem woli, to znaczy — ma cel praktyczny“. Wydaje się to co najmniej niejasne i takich niejasnych, niesprecyzowanych stanowisk można by w „Listach“ znaleźć więcej. (Na marginesie należałoby nadmienić, że Gramsci pierwszy odkrył i ukazał klasowe podłoże filozofii Crocego).

Wartość „Listów z więzienia“ to wartość różnorodna i bogata, dla każdego czytelnika inna — zależnie od zainteresowań. Dla Włocha jest to przede wszystkim wartość polityczna, mobilizująca. Sylwetka Gramscie'go bardzo plastycznie zarysowująca się w książce stanowi „sztandar“ ludu, piękny przykład humanistycznej i bezkompromisowej postawy komunisty. Dla nas książka ta ma także znaczenie inne. W chwili, gdy pisarze walczą zaciekle o nowy typ pozytywnego bohatera, w chwili, gdy próby stworzenia go są jakże często płaskie, nieprzekonywujące i papierowe, książka Gramsci'ego wskazuje drogę, jaką należy obrać, wprowadza w literaturę postać prawdziwego człowieka i rewolucjonisty nie tylko naszkicowaną, ale zbudowaną. I to jest jej wartość rozszerzona.

Zygmunt Greń

*) Antonio Gramsci: „Listy z więzienia“, tłum. M. Brahmer. Sp. Wyd.-Ośw. „Czytelnik“, Warszawa, 1950; str. 330 i nlb.

TYDZIEŃ MUZYCZNY

»HALKA« W POZNANIU

W poprzednim numerzu „Nowej Kultury“ zamieściliśmy krótki bilans sezonu muzycznego Filharmonii Warszawskiej, ograniczając się niestety z konieczności do krótkiej tylko wzmianki o Filharmoniach innych miast. Aby obraz sezonu muzycznego uczynić możliwie najbardziej pełnym, należy omówić jeszcze przynajmniej ważniejsze wydarzenia w dziedzinie opery.

Jeśli chodzi o Państwową Operę w Warszawie — tegoroczne jej premiery i wznowienia notowaliśmy w bieżących kronikach tygodniowych. W wystawieniu „Złotego Kogucika“ Rimskiego-Korsakowa w Operze wrocławskiej pisał Wojciech Dzieduszycki w numerze 8 „Nowej Kultury“. Pozostaje zatem przegląd działalności opery poznańskiej, śląskiej, oraz niedawno powstałego Studia Operowego na Wybrzeżu. Na początek zajmiemy się omówieniem tych przedstawień, które mieliśmy okazję oglądać na scenie opery poznańskiej.

Państwowa Opera im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu, która w sezonie 1949—50 obchodziła uroczyście trzydziestolecie swego istnienia, wystawiła — z okazji jubileuszu — „Halkę“ Moniuszki w nowej inscenizacji *Leona Schillera* i reżyserii *Jerzego Merunowicza*. Strona widowiskowa poznańskiego wznowienia „Halki“ posiada tyle cech nowych i odkrywczych, że warto się nad nią dłużej zatrzymać.

Tekst libretta „Halki“ Włodzimierza Wolskiego jest na swoje czasy niewątpliwie bardzo rewolucyjny. Trudno byłoby wskazać w tej epoce operę o tak wyraźnie zarysowanych tendencjach społecznych, tak wyraźnie odgradzającej i przeciwstawiającej sobie poszczególne warstwy narodu. Tragedia dziewczyny wiejskiej, uwiedzionej przez panicza, podbudowana jest tu dosyć zdecydowanym akcentem klasowym, przez co staje się czymś więcej, niż jednostkowym dramatem miłosnym. Jontek — to nie tylko zazdrosny rywal Janusza, ale przede wszystkim przedstawiciel uciśnionego ludu, po którego stronie autor opowiada się śmiało i jednoznacznie.

W dawniejszych inscenizacjach ostrość społeczna „Halki“ była, jeśli nie tuszowana świadomie, to w każdym razie niedostrzegalna. Lud wiejski schodził do rzędu barwnego tła, urozmaicając przedstawienie beztroskimi sielankowymi tańcami, Jontek zaś był w najlepszym razie czymś w rodzaju błędnego rycerza, wiernie zakochanego w Halce.

Praca Schillera i Merunowicza poszła w kierunku przełamania tych uświęconych tradycją szablonów i ukazania konfliktu tak jasno i wyraźnie, jak zarysowuje się on w tekście Wolskiego i jak uwypukla go wspaniała muzyka Moniuszki, w sposób nieomylny z tekstem tym związana.

Czy próba ta została uwieńczona powodzeniem? Na ogół tak. Podział klasowy uwydatnił się ostro, i to nie tylko w przeciwstawieniu: szlachta — pańszczyźniani chłopi. W warstwie szlacheckiej widać także wyraźnie rozróżnienie pomiędzy pewnymi siebie „potentatami“ (Stolnik), a masą „szaraków“ szlacheckich, traktowanych patriarchalnie, ale bardzo z góry. Stosunek tych ostatnich do wielmożów — to stosunek zaprzedanego, uniżonego sługi do pana. Na tym tle rysuje się odmienna postawa ludu, solidarna, odczuwająca krzywdę Halki jako własną, niechętna, obca, chwilami wroga panom. Lud ten bierze czynny udział w akcji, staje się jednym z głównych elementów dramatu, dzięki czemu sceny zbiorowe są mocną częścią widowiska. Inna rzecz, że w partiach chóralnych niezmiernie trudno jest osiągnąć rozróżnienie takich subtelności, jak to, że postawa tłumu jest ironiczna, nacechowana utajoną groźbą, lub pełna oburzenia. Wina to jednak ubóstwa środków aktorskich przeciętnych chórzystów czy statystów, a nie reżyserii, która włożyła tu maksimum wysiłku. Doskonale wyzyskano elementy gry poszczególnych śpiewaków-aktorów dla uwypuklenia koncepcji reżyserskiej. Z duetu Jontka z Januszem na końcu II aktu („O dobry panie...“) bija rzeczywiście gryząca ironia, nienawiść i pragnienie odwetu. Melodramatyczne zaś dawniej zakończenie opery nabrało obecnie akcentów prawdziwego napięcia. W groźne postawie tłumu wyraża się zapowiedź przyszłej pomsty za niesprawiedliwości.

Odkrywczość takiego podejścia do inscenizacji opery nie sprowadza się wyłącznie do tego jednego widowiska. Daje ono przykład, że można znaleźć niejedno nowe, interesujące zagadnienie w starych, zdawałoby się, ogranych librettach operowych, jeśli się odważnie zerwie z szablonem i konwencją. Mamy nadzieję, że inscenizacja „Halki“ stanie się hasłem ogólnej rewizji dotychczasowej interpretacji tekstów operowych.

Wartość przedstawienia „Halki“ podniosły dobre dekoracje *Jana Kosińskiego* i kostiumy *Andrzeja Cybulskiego*.

Nie zapominajmy jednak, że „Halka“ — to przede wszystkim muzyka. Cudowna, przebogata, nabrzmiała mnogością pomysłów muzyka Moniuszki. Świeżość i szczerość inwencji bije nie tylko ze sławnych arii o rzadkiej wprost płynności melodii — bije także z każdego najdrobniejszego recitativo, z każdego niemal taktu partytury muzycznej. Toteż od dobrego przygotowania strony muzycznej zależy w lwiej części efekt widowiska. W poznańskiej „Halce“ przygotowanie to wypadło bez zarzutu dzięki ogromnemu wysiłkowi i staranności pracy włożonej przez kierownictwo muzyczne w osobach dyr. *Waleriana Bierdiajewa* i jego zastępcy, *Bolesława Lewandowskiego*. Z poszczególnych wykonawców wybija się wybitnie utalentowana młoda artystka *Antonina Kawecka* — w roli Halki, oraz bardzo dobry głosowo i aktorsko Jontek — *Franciszek Arno*. Dobrym Stolnikiem był *Edmund Kossowski*, a Januszem — *Jerzy Sergiusz Adamczewski*. Wymienić ponadto należy: *Jadwigę Musielewską* (Zofia), *Władysława Chomiaka* (Dziemba), *Antoniego Faruleswskiego*, *Adama Łukasika*, *Juliusza Bieńkowskiego* i *Józefa Katina*. Dobrze przygotowany był Chór Opery Poznańskiej, którego kierownikiem jest *Wiktor Buchwald*.

Musimy zauważyć, że — po doskonałym okresie premierowym — przedstawienie „Halki“ przeżyło pewien kryzys. Orkiestra „rozkleiła się“ trochę, soliści i chóry nie zawsze szli z nią razem, śpiewacy zdradzali chwilami tendencję do detonowania. Mamy nadzieję, że w chwili kiedy piszemy te słowa, kryzys już minął i „Halka“ jest nadal ozdobą tegorocznych repertuarów operowych.

Omówienie byłoby niepełne, gdybyśmy pominęli stronę choreograficzną opracowaną przez *Eugeniusza Paplińskiego*. Prezentuje się ona na ogół bardzo dobrze. Zastrzeżenia mielibyśmy co do Mazura w I akcie. Był on za mało polski, za mało „mazurowy“, zbyt mało tętniało w nim temperamentu i żywiołowości. Dobrze natomiast wypadł Polonez, najlepiej zaś tańce w III akcie, trafnie oddające styl oryginalnych tańców góralskich, o tyle o ile pozwalała na to niezbyt „góralska“ muzyka Moniuszki.

Inne przedstawienia Opery Poznańskiej, w szczególności zaś to, co było prawdziwym wydarzeniem ubiegłego sezonu operowego: wystawienie „Borysa Godunowa“ Musorgskiego — omówimy w następnym artykule.

Wawrzyniec Żuławski.

KORESPONDENCJA

RZEŹBA NIE JEST SUITĄ

Do komunikatu Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, dotyczącego polskich kandydatur do międzynarodowych nagród pokoju, wkradło się parę błędów powtórzonych przez całą prasę. Myślałem, że zostaną one poprawione przez redakcję pisma literackiego — jako oczywiste. Niestety widnieją one i w numerze 16 „Nowej Kultury“.

W dziale malarstwa i rzeźby powinno być: „rzeźba“ Alfreda Wiśniewskiego nie „suita“. Jeżeli się napisze piórem te dwa wyrazy obok siebie, jasne, skąd błąd ten powstał. Jakaż może być „suita“ w malarstwie czy rzeźbie?

Poza tym jestem autorem wiersza „Pokój“ — nie „Pieśń o Pokoju“ oraz „Czwartej Ody Olimpijskiej o Braterstwie Ludów“ — nie „Hymnu Olimpijskiego o Braterstwie“. Prawdopodobnie Komitet Wykonawczy PKOP myślał o tych utworach, wymieniając tytuły w zniekształconym brzmieniu.

Jarosław Iwaszkiewicz

mała kronika

iedy rano spotkam proroka, mam cały dzień zepsuty. Taki prorok oznajmia niepytany: na literaturę musimy jeszcze poczekać kilka lat. Albo: pan X już się skończył. Albo: koleżanka Y i towarzysz Z jeszcze się nie zaczęli. Opowiadali mi nawet o pewnym poecie, który dowodził, że w ogóle nową literaturę robią maturzyści i że nie warto o niej mówić. Tegoroczne nagrody państwowe przekonają go, że jednak warto o niej mówić. To, co powiem tutaj o publicystyce i krytyce, nie jest prorokowaniem. To tylko stwierdzenie faktu. Niedawno Edmund Osmańczyk rozdał, jak powiada, literaturze, publicystyce i dziennikarstwu równo po groszu, dowodząc, że trzy te dziedziny są jednakowo trudne. Owszem, ale nie jednakowo cenione. Dziennikarzy cenią najbardziej literatów mieli za hetkę pętelkę. Przed paru tygodniami w „Locie" w Katowicach długo nie chciano mi dać biletu na samolot, gdyż okazałem legitymację literacką. A w niej nie stoi, kto jest moim pracodawcą. Woroszylski, który — sprytny! — dał zaświadczenie dziennikarskie, bilet otrzymał od razu i z honorami. Nie przyznał się, mądry, że jest poetą. Gdybym zaś okazał legitymację publicysty (na szczęście, nie ma takich) — pewnie bym musiał iść do Warszawy piechotą.

Nie można sobie wyobrazić aby w krytyce radzieckiej pominięto milczeniem zbiorek Erenburga „Za pokój świata", artykuły i pamflety Simonowa, dorobek publicystyczny Aleksieja Tołstoja. Dobry zbiór artykułów i szkiców literackich to tak samo ważna pozycja jak dobra powieść. Zabrać Mickiewiczowi jego dorobek „dziennikarski" — to zubożyć, okaleczyć jego poezję, sfałszować ideologię. Tymczasem zdarza się, że nasza krytyka literacka lekkomyślnie kaleczy obraz literatury polskiej, pomijając milczeniem te nieliczne okazy publicystyki, które pojawiają się w oknach tysięcy „Domów Książki". Nie będę gołosłownym: mamy cztery książki o Ameryce. Gorkiego, Poznera, Podkowińskiego, Jaszuńskiego. Z tych — omówiono jedynie książkę Władimira Poznera, znakomitego pisarza francuskiego. Z okazji pobytu autora w Warszawie. Słusznie, gdyż książka Poznera jest świetnym pamfletem literackim. Po stokroć słusznie, ale również Jaszuński i Podkowiński przebywają często w Warszawie, a Gorki osiedlił się w niej na stałe. I nie tylko w niej. W całej Polsce. Wydawałoby się, że w okresie zaostrzonej walki o utrzymanie pokoju demaskujące podżegaczy wojennych książki dostaną się do rąk propagandzistów, agitatorów i aktywistów. Nie dostały się. Podziwiamy walkę narodu włoskiego z rodzimymi i amerykańskimi imperialistami, dumni jesteśmy z jego poświęcenia i wyrzeczeń, szacunkiem napawa nas i otuchą walka dokerów włoskich. Ale jedynej na razie książki o walce ludu włoskiego, „Spotkań włoskich" Mariana Brandysa, nie potrafiliśmy tak omówić, jak na to zasługiwały. Nawet Ważyk zbył je grzecznościową formułką. Jak można zwracać uwagę na coś, co się lekceważy! Nie lubimy publicystyki, nie kwapimy sie do jej uprawy. Przez pewien czas „Nowa Kultura" starała sie mobilizować pisarzy do pisania artykułów — co tu dużo gadać — politycznych, antyimperialistycznych, broniących pokoju. Artykuły te dawali przeważnie pisarze doświadczeni, starsi. O ile sobie przypominam, nikt z t.zw. młodzieży nie pokwapił się z wypowiedzią. Wina w tym redakcji, że nie umiała zachęcić autorów, ale wina również niedoszłych autorów. Niektórzy uważają, że sztuka wystarczy. Owszem, sztuka jest potężnym orężem walki o pokój. Ale w gorących dniach wojny ojczyźnianej Erenburg pisał nie tylko „Upadek Paryża". Pisał jeszcze codziennie artykuły. Żołnierze przechowywali je razem z wierszami Simonowa i Twardowskiego. Odpowiecie: pisanie artykułów nas męczy. Niech się tym zajmuje kto inny.

Nikt inny tym się nie zajmuje. Rezultat: nawet zjazd literatów nie został w prasie porządnie omówiony. Natomiast plotka jest bardzo wymowna.

Znowu występuje w obronie publicystyki. Być może jestem — jak zawsze zbyt niecierpliwy i (jak często) nie znam się na rzeczy. Ale wydaje mi się nieraz, że kto nie umie porządnie wyrazić trzech słów w artykule, nie wyrazi trzydziestu w wierszu. Mógłbym podać przykłady, ale się nie chcę narażać. A kiedy przychodzi mówić, okazuje się, że hurtem nie umiemy. Iluż naszych pisarzy milczało na zjeździe tylko dlatego, że nie „umiało" mówić! Wyrażają w ten sposób lekceważenie dla przemian ideowych w literaturze, umywają ręce, które się jeszcze niczego nie dotknęły.

Kiedy jednak słyszę narzekania i kiedy sam narzekam na stan naszej krytyki i publicystyki, wtedy myślę również o błędach, które popełniamy w naszych redakcjach. Zamykamy nieraz oczy na rosnące kadry, nie dostrzegamy chętnych i pracowitych rąk. Nieraz spotykam kolegów, którzy mają pretensje, że pismo o nich zapomniało. Ludzi, którzy umieją zrobić i reportaż, i artykuł, i recenzję. Ale pragną, żeby się o nich postarać, krygują się, jak młode panny. Jeżeli macie ochotę na robotę, to przychodźcie do waszego pisma! Czy choćby na połowę drogi! Miejcie odwagę tych junaków ze Służby Polsce, którzy w swej gazetce ściennej napisali, że chcą prowadzić robotę „polityczno-kolturalną". Dziś jeszcze prowadzą ją nieumiejętnie, ale za rok będziemy się od nich uczyć!

Przez okno mego pokoju widać skrawek nieba. Jest letnie, poranne, jeszcze chłodne, ale czyste jak woda. Słychać dzwonki tramwajów, szurgot wozów rozwożących mleko, kroki robotników idących do pracy. Budzi się upalny, lipcowy dzień.

To mi przypomina, że jest lato, sezon ogórkowy, wakacje i urlopy. Wszelkie dyskusje literackie odłożono do września. Nie chciałbym się wyłamywać spod powszechnego zwyczaju. Jak pewien mój przyjaciel, który znudzony i podrażniony moimi wywodami, powiedział mi: „Zobaczysz, że skończysz źle. Skręcisz kark przez tę swoją manię pouczania".

Bardzo być może. Ale nie będę żałował. Pouczanie zwane publicystyką trwać będzie jeszcze długo. Co najmniej tak długo jak sama literatura. Tylko że podejmą je pisarze mądrzejsi i lepsi od nas.

Prorokowanie natomiast ustanie zupełnie. Przemieni się w świadome planowanie, które podniesie sztukę na wyżyny Planu Sześcioletniego i stworzy dzieła, harmonijne jak Nowa Huta.

Tadeusz Borowski

Rys. K. Sosnowski

Komentarze

„...ze względów estetyki filmowej

Programy kinowe, fabrykowane niegdyś pokątnie przez nieznanych przedsiębiorców, robi już dziś dawno „PP Film Polski". Jednak i na tej „urzędowej" łączce rosną brzydkie kwiatki niedopatrzenia i niedbalstwa. Jeden z nich to program filmu Cecile B. De Mille'a „Zdradzieckie skały".

Najpierw autor programu pisze, że film jest awanturniczy i sensacyjny. Potem, że „...uważny widz może poza emocją, jaką dostarcza treść filmu, na którą składają się niecodzienne przygody, walka z ośmiornicą, dostrzec coś więcej..." Potem jest mowa o atmosferze moralnej początków morskiej potęgi USA, o złej magii złota, „...która ciąży nad Ameryką od samych narodzin tej kapitalistycznej republiki".

I konkluzje: „...film należy pod względem formalnym uznać za jeden z bardziej udanych obrazów kinematografii amerykańskiej w ostatnich latach...", bo jest „...filmem nie tylko ciekawym ze względu na jego frapującą, choć niepogłębioną fabułę, lecz również ze względów estetyki filmowej..."

W 38 wierszach druku zmieściła się i socjologiczna interpretacja filmu, i sprytna reklama, i „charakterystyczne rysy obyczajowe", i wątpliwej jakości polszczyzna. Wszystko to na temat dość kiczowatego, barwnego filmu, który poza nazwiskiem reżysera nie odznacza się niczym szczególnym.

Czy nie byłoby warto, miast drukować sześć fotosów z filmu (dwa przedstawiają zresztą sceny, w filmie nie pokazane) dać krótkie i rzeczowe, ale właściwe *krytyczne* omówienie wartości filmu, skoro już wszedł na ekrany?

Dotychczas niedobrze się dzieje. Program kosztuje urzędowo 5 zł, widzowie płacą po 20 zł. Jak na cytowane powyżej wywody anonimowego autora, o 20 zł za dużo.

Czy tak naprawdę musi być? I czy długo jeszcze?

zo

„Krytyka czy recenzja" — oto jest pytanie

W numerze 25 tygodnika „Dziś i Jutro" Mieczysław Markowski w równie długim jak pracowicie obciążonym cytatami artykule „Problem Recenzji Teatralnej" zastanawia się, jakie to subtelne różnice istnieją między funkcją teatralnego krytyka a funkcją recenzenta. Stwierdza w końcu, że choć „Recenzent pisze nie tylko dla teatru — pracuje on również dla widowni, która naukowych dysertacji nie wymaga"..., to jednak konieczna jest „przynajmniej encyklopedyczna na wstępie działalności znajomość zasad techniki gry aktorskiej, pracy reżyserskiej, scenograficznej."

W numerze 27 „Dziś i Jutro" przeczytać możemy recenzję z wystawionego w Teatrze Nowym w Warszawie „Zielonego Gila" Tirso De Moliny w przeróbce Tuwima — recenzję pióra autora powyższego studium. Dowiadujemy się tam na początku, że „Tirso de Molina był zakonnikiem i z tej prostej przyczyny mało znał kobiety, dlatego też w twórczości swojej przez palce patrząc na mniejsze lub większe grzeszki, stara się je idealizować" — jest to zapewne informacja realizująca postulat Markowskiego-esseisty: „tekst literacki to sens społeczny Teatru."

Dalej z działu „Zasady Techniki gry aktorskiej i pracy reżyserskiej" znajdujemy poza apodyktycznym stwierdzeniem „od błędów reżyserskich aż się roi" — taką uwagę: „rozładowany został w zwolnieniach temperament aktorski Lidii Wysockiej."

Dalej, po równie precyzyjnym omówieniu strony muzycznej spektaklu następuje uwaga, bezwzględnie słuszna, gdyby autor potrafił zmienić samokrytycznie jej adres: „Trzeba się uczyć i muzyki i teatru". Na koniec następuje jednak poprawa: o postulowanej „pracy scenograficznej" autor recenzji nie wspomina w ogóle. Gdyby tyle napisał o całości spektaklu, twórczość recenzencką Markowskiego uznać by nam wypadło za całkiem dla teatru nieszkodliwą.

W posscriptum jeszcze jeden cytat z Markowskiego esseisty: „Recenzent teatralny pamiętać musi o tym, że praca jego oderwana od jednego choćby tylko elementu teatru zatraca swój sens — jest niepotrzebna".

jw

Mr Roseberry nienawidzi ludzi

„Nie wiemy jeszcze, w jakim stopniu ludzie są odporniejsi od myszy na zarazki biologiczne. Możliwe, że środki biologiczne działają na ludzi bardziej zabójczo niż na myszy".

Oto niepewność, która spędza sen z powiek profesora Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku — Treodore Roseberry. Roseberry jest z zawodu uczonym, z powołania podżegaczem wojennym, który z największą przyjemnością wytrzebiłby połowę ludzkości. Płodem jego pracy naukowej jest książka p.t. „Pokój czy zaraza", w której autor snuje plany unicestwienia Europy. Tytuł „dzieła" jest oczywiście retoryczny, ideałem Roseberry'ego jest tylko i nade wszystko zaraza we wszystkich możliwych formach biologicznych. We wspomnianej książce „uczony" stwierdza cynicznie:

„Stworzyliśmy bombę atomową i zastosowaliśmy ją w praktyce. Pracowaliśmy również nad wyprodukowaniem biologicznych środków prowadzenia wojny i będziemy nadal nad tym pracować".

Tak wygląda plan naukowej działalności profesora Roseberry'ego i uczonych amerykańskich, opłacanych przez rząd i przemysł amerykański. Wszystko to nie przeszkadza Roseberry'emu mienić się obrońcą wolności myśli i kultury zachodniej. W imię „swobody sumienia i celem obrony cywilizacji" autor „Pokoju czy zarazy" jest gotów zniszczyć tyfusem, dżumą itp. miliony dzieci, starców i matek.

rk

Uniwersytety kołtunerii

Casus Roseberry staje się całkowicie zrozumiały w świetle polityki wyższych uczelni amerykańskich której typowym przykładem jest Bloomsfield-College w stanie New Jersey. Uniwersytet ten, jak głosi enuncjacja władz uczelnianych, „musi gruntownie podlegać amerykańskiemu systemowi i zdecydowanie zwalczać komunizm i socjalizm". Werbując nowych wykładowców Bloomsfield-College zastrzegł się wyraźnie: „Czerwoni i czerwono zabarwieni ludzie nie odpowiadają polityce uczelni, która krzewi pozytywną lojalność wobec amerykańskich ideałów i tradycji". Toteż na amerykańskich uczelniach szaleje po prostu dziki terror, którego ofiarą padają coraz to inni uczeni. Tak więc został usunięty z instytutu pedagogicznego w London

State prof. Luther Mc Nair za to, że wyraził się krytycznie o polityce Trumana, podobny los spotkał dra George Parkera w Evansville (Indiana), prof. Clarence Athern w Pensylwanii tudzież prof. Jamesa Barforda z uniwersytetu Georgia. Ostatnio Michigan State College zwolnił trzech profesorów za „niesłuszne przekonania polityczne", a wkrótce potem trzech docentów, ponieważ utrzymywali stosunki towarzyskie z usuniętymi z uczelni profesorami. Wymienieni wyżej uczeni mieli na sumieniu jeden i ten sam grzech główny: nie odpowiadali „ideałom i tradycjom amerykańskim". O tych ideałach i tradycjach decydowała oczywiście „Komisja dla badania działalności nieamerykańskiej" oraz... wywiad amerykański FBI.

rk

Edukacja

Leży przede mną stos dzienników wydawanych w Niemczech, w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Część z nich inspiruje brytyjska Służba Informacyjna, inne wzorują się na dziennikach amerykańskich. Gazety posiadają dodatki kulturalne i naukowe, poruszające wiele zagadnień życia umysłowego. Czym karmią anglosascy imperialiści niemieckiego czytelnika? Podaję kilka przykładów:

1) Artykuł o badawczych pracach fizyka, który stwierdził bezpośrednią wymianę myśli między człowiekiem i roślinami. Fizyk skonstatował, że selery są apatyczne i leniwe, marchewki energiczne i krnąbrne, a kapusta ma skłonność do melancholii.

2) Historia o człowieku-rybie wyłowionym z morza i umieszczonym w łazience. Człowiek-ryba oponował przeciw słodkiej wodzie i pożerał żywe ryby.

3) Pewien zegarmistrz i zarazem biolog zajął sie badaniem mistycznych praw przyrody. Stwierdził, że zegary są wrażliwe na zapachy i kolory, które wpływają na chód wskazówek.

Dziesiątki tego rodzaju artykułów i reportaży zapełniają dodatki „naukowo-literackie" zachodnio - niemieckich gazet, ogłupiając dzień po dniu niemieckich czytelników. Reszty wykształcenia dopełniają tłumaczone z angielskiego powieści sensacyjne i setki amerykańskich filmów z życia przestępców i gangsterów. Kulturalna misja Anglosasów nie pozostaje oczywiście bez wpływu na wzrost przestępczości wśród młodzieży zachodnich Niemiec. Charakterystycznym produktem tej polityki jest rozpowszechniony w zachodnich miastach typ żygolaka i osławionej taxi-girl.

kst.

Poganiacze powieści czyli kłopoty korektorów

W ostatnim numerze „Nowej Kultury", w korespondencji J. Lorii na str. 11-tej p. t. „Kłopoty polonistów" podano m. in., że w żadnej z księgarń nie można dostać książki Kazimierza Wyki p. t. „Poganiacze powieści". Chcąc zbliżyć naszych czytelników do tego istotnie dziwnie zakonspirowanego i ogółowi czytelniczemu bliżej nieznanego dzieła prof. Wyki postanowiliśmy treść jego zilustrować rysunkiem.

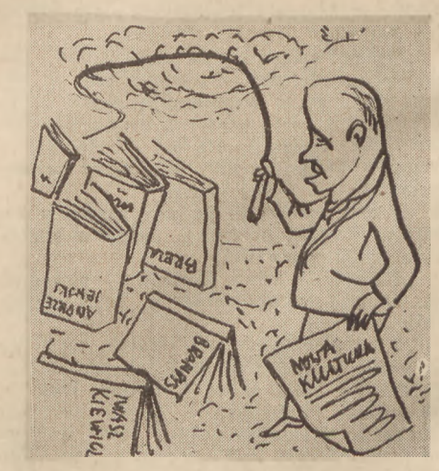

Świadczy on dobitnie o tym, że nasza zapóźniona krytyka zaczyna wreszcie rozumieć w sposób właściwy swoje zadania. W wywiadzie udzielonym przedstawicielowi naszej redakcji na temat swojej nieznanej książki prof. Wyka oświadczył, że natchnienie do jej napisania zawdzięcza korektorkom „Nowej Kultury", które swoją odkrywczą intuicją nasunęły autorowi dawno wyczerpanego „Pogranicza powieści" twórczy pomysł nowego ujęcia zagadnień polskiej prozy.

rdc

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-112080